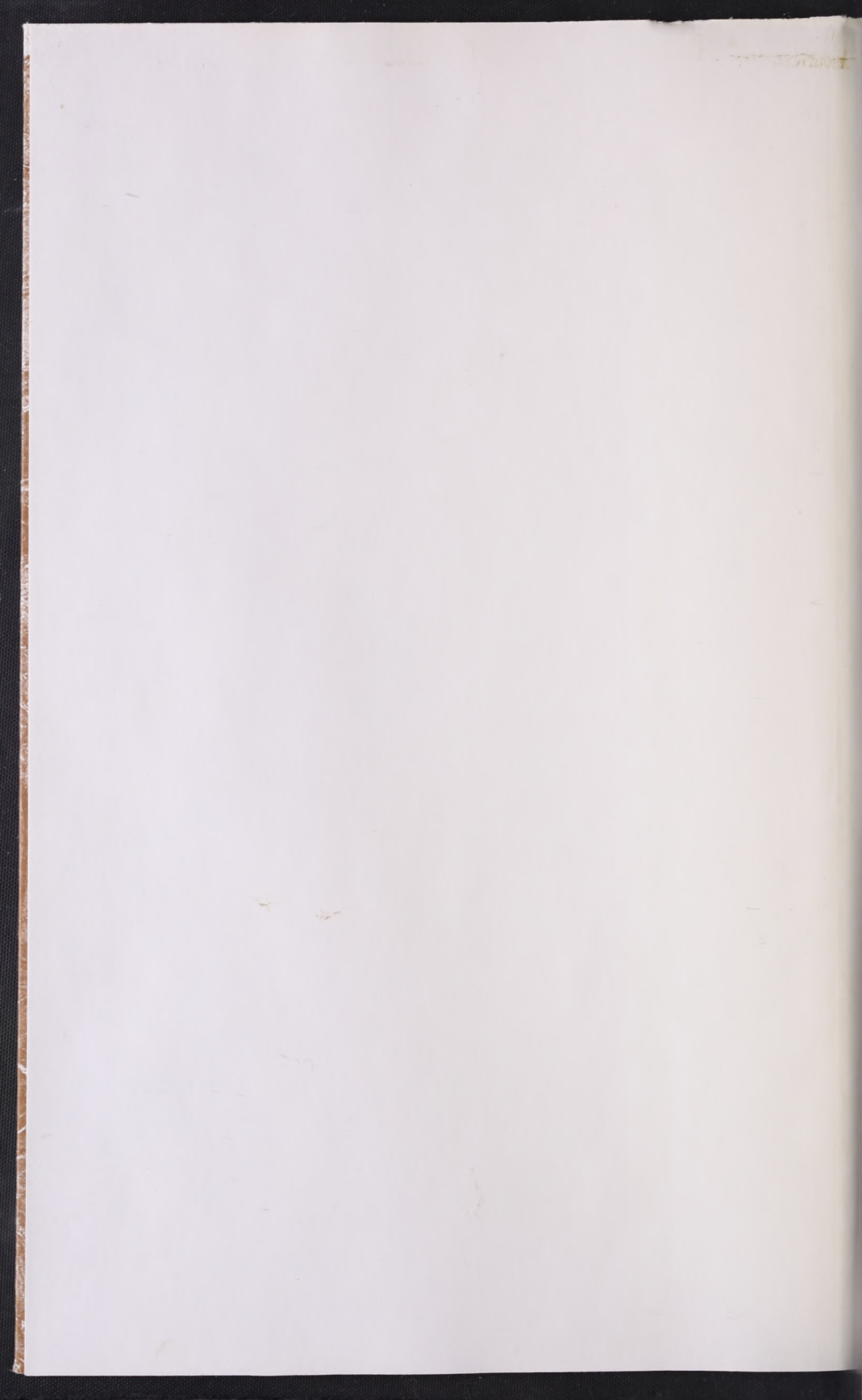


259425









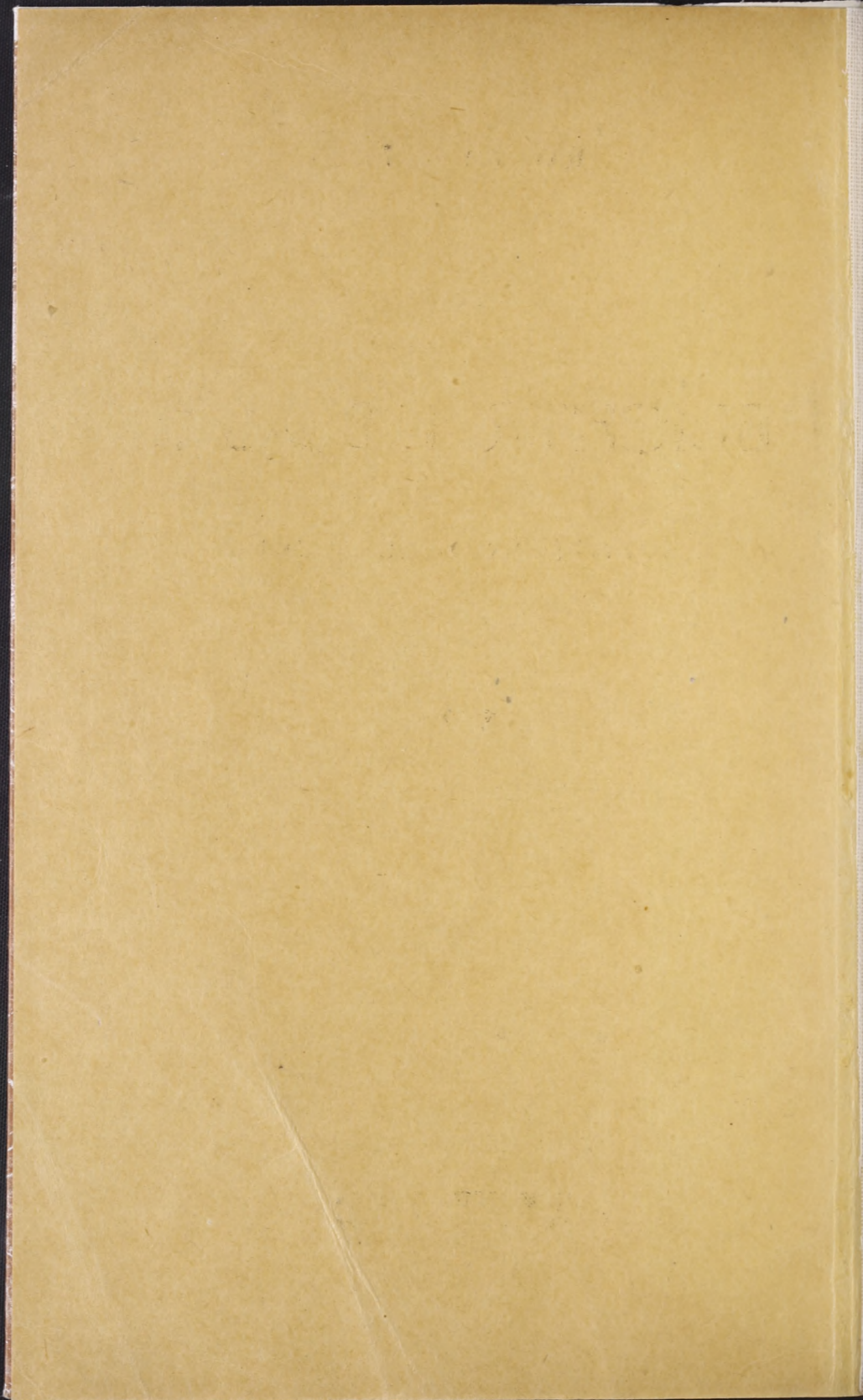
II 259.425
RO...MUNT.

BLICHTR I BLASK

Z ROZMYŚLAŃ O SŁOWACKIM.



WYDAWNICTWO «SŁOWO»
WILNO — — — — — 1926



RO...MUNT.

BLICHTR I BLASK

Z ROZMYŚLAŃ O SŁOWACKIM.



WYDAWNICTWO «SŁOWO»
WILNO — — — — — 1926



II 259.425

Drukarnia «Wydawnictwo Wileńskie» Kwaszelna 23.

1965K259/25

Schopenhauer, zawsze skłonny do zgryźliwych uwag, powiada, iż na setkę tysięcy książek napisanych, ledwo jedna bywa godną przeczytania i wartość trwalszą posiada. Orzeczenie to należy przyznać za poniekąd słuszne.

Z drugiej strony ludzkość jest ciągle spragniona nowości. Świeża, lekka strawa umysłowa, lepiej dogadza przeciętnemu czytelnikowi, niż stare księgi mądrości. Nowe opracowania ciekawych tematów znajdują popyt, choćby wartość mniejszą posiadały od odpowiednich dzieł starszych.

Pokaźna ilość monografij, poświęconych pamięci i twórczości Słowackiego, a wydanych w ciągu lat osatnich, świadczy o sile czaru, jaki utwory jego na umysłowość spótczesną wywierają.

Wieszcz miał szczęście do biografów. Już pierwszy większy a źródłowy życiorys—napisany przez Oica wiedzy o Słowackim prof. Małeckiego—jest cennem dziełem i pewnym przewodnikiem przez labirynty umysłowości jego. „The real Lord Byron” nazwał jeden z biografów tego wieszcz (John Cordy Jeaffreson) swoje o nim dzieło. „The real Słowacki” można by nazwać, z daleko większą słusznością, dzieje życia jego i twórczości, podane przez prof. Tretliaka. Książka, której należałoby oddać palmę pierwszeństwa ponad wszystkie życiorysy naszych wielkich wieszczów.

Te wyczerpujące prace nie zniechęciły innych autorów do pisania o tym samym przedmiocie, raczej wzmogły impet do dalszych badań. Rozwój jakościowy tej literatury niekoniecznie dotrzymał kroku ilościowemu.

Pisać o Słowackim bezstronnie nie jest zadaniem łatwem. Lotność jego wyobraźni, czar słowa olśniewa wzrok krytyka. Zasluchany w uroczę dźwięki złotej lutni, bywa skłonny do zapomnienia o treści dźwięków, lub sądzi je oczarowany sztuką formy.

Nie wszystko, co znajdujemy w skarbcach mądrości wielkich myślicieli, jest szczerem złotem. Znajdziemy tam, jak w skarbie Państwa, obok pieniądza pełnowartościowego: waluty—moc bilonu, czyli monety zdawkowej lub, jak poucza słownik języka polskiego „monety Krakowskiej fałszywej”. Słowo o praojcu epiki „aliquando dormitat etiam bonus Homerus” zawiera prawdę niezbitą. Jak Homer tak i inni wieszcz, choć czasem i w odmiennej dziedzinie, nie są w stanie utrzymać się stale na

jednakowo wysokim poziomem. Potwierdza to Słowacki, który w dramacie „Fantazy” do tytułowego bohatera (nieco złośliwej podobizny Krasieńskiego) umieszcza taką przemowę;

„...Ty jesteś pióro,
Które sonety pisze et andronas scribit“.

Zapewne, podobne grzechy przytrafiają się nawet filozofom, nie był wolny od niego Schiller w młodości, Mickiewicz w późniejszym wieku, Shelley w ciągu całego życia i w stopniu wcale niepoślednim Słowacki.

W przeciwieństwie do starszych biografów, których sąd bywa trzeźwy i mądry, nowsi doktorowie wiedzy o Słowackim bywają skłonni do idolatrii, niezadawalniając się szacunkiem nieprzebranych bogactw, nagromadzonych w skarbcu twórczości jego, i bilon pozłotą zdobią, polecając go, jako dobrą monetę.

Idolatria czyni sąd jednostronnym, subiektywnym, rozwija skłonność do przypisywania uwielbianemu „eidolon” tych rysów, które czcicielowi są drogim. Wenus w pojęciu Eskimosów, jak Nansen w swojej pracy o Grenlandji poucza, posiada rysy pośrednie między żabą a kobietą, a więc wcale do Medycejskiej podobną nie jest. Niedźwiedź Atta Troll, według informacji Heinego, wyobrażał sobie bóstwo, jako olbrzymiego niedźwiedzia polarnego, dziwnej piękności. Tendencje Trolla nieco się rozwieliły w gminie idolatorów Słowackiego, przypisują mu zalety i zasługi, o jakich się filozofom nie śniło. Jeden widzi w nim praojca nauki Darwina, inny wielbi go jako «wielkiego Hellenistę», «prawdziwego Homerydę», jeszcze inny mieni najfantastyczniejszego z wieszczów wielkim realistą.

Słowacki, jeden z najoryginalniejszych poetów, dzięki nadmiernej wiażliwości łatwo obcym wpływom ulegał.—W pierwszym okresie twórczości siedł za gwiazdą Byrona.

Owoce tego okresu, był szereg poematów liryczno-epicznych i dramatycznych.

Poezje te nazwał Mickiewicz pięknym kościołem, w którym niema Boga! Obojętność, z jaką przyjmowano ówczesne utwory wieszca, uważał Krasieński za niesprawiedliwą.

W liście do Gaszyńskiego z dn. 12. 6. 36 pisał: „Myśl co chcesz o Juljuszu, Słowacki jest poetą, i kiedyś imię jego światłem będzie“.

Umysł krytyczny był u Krasieńskiego dobrze rozwinięty; w jednym z następnych listów daje w krótkich słowach na ogół trafną charakterystykę osoby i geniuszu jego.

„Słowacki jest w Egipcie, boję się o zdrowie Juljusza, bo niedługowieczny. Dziwny to kontrast w tym człowieku; awanturniczy wyobraźnią, a tchórz (?) nerwami i całym ciałem! Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezji w działaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, w których sil-

nego indywidualizmu nie czuć, więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt i rozlanie w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach. Są to siły ogromnie duchowe, ale nie ludzie. W żadnym przypadku liczyć bym na niego nie chciał. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością, uważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne; żadnej zaś nadziei, ni rachuby na nich nie pokładać, w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury“.

Echa Byronowskie choć rzadsze, grają jeszcze i w następnych okresach twórczości.

Po odżegnaniu się od bezpośrednich wpływów jego, umysłowość Słowackiego przelatuje w kraj blasków Shakespearowskich. Echa, które grały w Mnichu, Lambrze i Żmiji, w okresie ożywionej twórczości dramatycznej, zastępują w Baladynie, Lili Wenedzie, Beatryx Cenci, światła Shakespearowskie a jego imieniem ten drugi okres ochrzcić należy.

Na okres ten przypada i zajmujący zupełnie odrębne stanowisko, w dziejach twórczości wieszcz, Beniowski, ze swojemi licznymi wycieczkami satyrycznemi, które znakomicie się przyczyniły do wzmożenia rozgłosu imienia autora. Utwór, przesycony zjadliwemi uwagami, nie był zdolny zaskarbić mu serca czytelników.

Tem większą winna wzbudzać podziw siła geniuszu, która nawet umysły niechętne do podziwu zniewolić umiała.

Dzięki Beniowskiemu, na końcu tego okresu stanął wieszcz nareszcie w pełni pożądanym przez całe życie blasków chwały. Próżnem byłoby dociekanie, w jakim kierunku rozwinąłby się lot jego wyobraźni, nieobliczalny jak hyperboliczny szlak Komety, gdyby nie zaszła szczególna okoliczność.

Na posępnym w owe czasy dla emigracji polskiej niebie paryskim, zabłysło nowe światło, „jako gwiazda zła Lucyfer“ — posiadająca dla wielu umysłów wrażliwych dziwną siłę przyciągającą. Siłę tej nie oparł się nawet taki mocarz ducha, jak Mickiewicz. Tą gwiazdą, posiadającą dziwną magnetyczną siłę, był Towiański, ze swem objawieniem i nauką. Przekorny Słowacki trzymał się przez czas dłuższy zdala od tego nowego systemu planetarnego, który się skoncentrował wokoło osobliwego światła objawienia. Wreszcie i krnąbrny Komety uległ przemocy atrakcji.

Błędem bywa mniemanie, jakoby Słowacki nie długo ulegał wpływom Towiańskiego. Jest ono słusznem, o ile chodzi o osobisty stosunek. Wszelki osobisty stosunek z wieszczem naogół na chwajnych spoczywał podstawach.

Entuzjazmem zapłonęła dusza Słowackiego ku Towiańskiemu w 42 roku, stał się gorliwym członkiem Koła jego, nawet z Mickiewiczem się pojednał. Towiańskiego nazywał „tym,

który nie słowy, ani nauką, ale przyjściem swoim i zapowiedzeniem sprawy Bożej ducha z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł". „On, który wyrzekł słowa te, że wszystko przez Ducha i dla Ducha jest stworzone, podobnie jak Kopernik, a więcej jeszcze bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy na syntetyzmie zatrzymał i postawił". Lecz już w następnym roku wieszcz z Kołem, mistrzem i jego zastępcą się powaśnił.

W parę lat potem wysłańca Bożego, Mesjasza nowego objawienia nazywał w „Mateczniku"—oszustem. Lecz naukom „oszusta" pozostał wierny do końca dni swoich.

Towjanizm pchnął wyobraźnię wieszczka na nowe tory. Doktorowie wiedzy o Słowackim twierdzą, iż po transfiguracji uskutecznionej pod wpływem Towiańskiego, osiągnął najwyższych szczytów twórczości. Prof. Tretiak ceni Księdza Marka, mimo pewne usterki, jako najlepszy dramat Słowackiego. Sen srebrny Salomei niechętnie bywa zakłócanym. Natomiast Król Duch i Pan Tadeusz to dwa bieguny, wokół których obraca się cały glob poezji polskiej. Wolno wątpić, czy pewnik mурwany o doskonałości Króla Ducha, ostałby się niewzruszony pod ostrzem kielni krytycznej.

Najprzedniejszemi dziełami Słowackiego w dziale epiki są Beniowski i Król Duch. Oba utwory zakrojone na olbrzymią skalę, niedokończone—pozostały fragmentami wielkich zamierzeń, Nie przyjąłbym bez zastrzeżenia zdania wielu powag i znawców Słowackiego, dających bezwarunkowe pierwszeństwo Królowi Duchowi.

Voltaire powiada o Karolu XII, iż zalety charakteru doprowadził do tak wysokiego rozwoju, aż przeradzały się w wady, stanowczość stała się uporem, odwaga szaleństwem. Podobnych rysów nie był pozbawiony Pegaz Słowackiego.

Złotą była żyłka epicka w talencie jego. Jeno epik—by pełnię siły twórczości wykazać, winien władać bystrym, szlachetnym, lecz karnym Pegazem. Pierwsze dwie zalety były właściwe ognistemu rumakowi—lecz o ostatniej miał tyle pojęcia, co wicher wirokręt. «O szalony, gdzie on goni», po zawrotnych bezdrożach, tam, «gdzie skały nocują», tam, «gdzie gwiazdy koczują». Świętą była szkoła jeźdźca, który na tym koniu dosiedzieć umiał, nic dziwnego, że go taki wicher płomienisty czasem unosił i przedziwne z nim wyprawiał harce. Takiego Pegaza „samby zląkł się i Apollin".

Niedostępne szczyty zdawały się dlań nie istnieć, zagadki sfinksowe nie przestraszały go. Jeździec mocno siedział na rumaku, a on go unosił w sferę niezbadane dla umysłu ludzkiego.

Poemat o Królu—Duchu pełny jest podobnych wycieczek wichrów wyobraźni w tajemniczą krainę, której ksiąg, na siedem pieczęci zapieczętowanych, żaden śmiertelnik otworzyć nie

zdołał, gdzie wzrok ludzki władzę traci, głos ludzki ginie bez echa, a pytania toną w otchłani milczenia. Szczupłem pozostanie grono taterników, których nie opuści moc i śmiałość—w pochodzie przez mgieł chmurne zawoje ku turniom stromym—przez wichrów szlaki, ku wichrom strzelistym, kędy nas Król-Duch prowadzi.

Nieprzystępność tworu myśli ludzkiej za zaletę poczytaną być nie może. Zastugą przednią jest wyrazić wielką prawdę w formie przystępnej.

Dobrnąć na wicher, dla zwykłego śmiertelnika niedostępny, jest chlubą wytrawnego taternika. Kocha on ten swój szczyt niegościnnie i z lekceważeniem spogląda na innych, w taternictwie biegłych, unikających z lękiem karkołomnych ścieżek.

Lecz szczyt niedostępny niekoniecznie bywa najwyższym i najpiękniejszym.

Jak Król-Duch tak i Beniowski nie jest epopeją w klasycznym tego słowa znaczeniu. W epopei takiej, powieść z opisami, rozważaniami różnego rodzaju zlewa się z zwartą całością, jak rdzeń drzewa z obłoną. Tutaj nawet opowiadanie wylamuje się z karbów konsekwencji. Odchylenia od powieści przerastają często ona samą i nie utrzymują z nią właściwego związku.

Szerszą drogę tego rodzaju poezji utworzył Byron w *Don Juanie*. Słowacki w Beniowskim poszedł jego śladem. Wszakże podobne fantastyczne powieści posiadają już patynę wieków. O jednej z nich powiada pewien literat angielski: «Śledzić za rozwojem powieści ma stosunkowo małe znaczenie. Czytajcie ten utwór wprost dla jego wspaniałych obrazów, dla wiecznie zmiennej muzyki wiersza—a przyjmiecie udział w tej rozkoszy, którą przez lat wiele Spencer (w tym wypadku Słowacki) sprawiał wszystkim prawdziwym miłośnikom poezji». To zdanie, wypowiedziane o poemacie *Faery Queen* Spencera z XVI-go wieku, zawiera najtrafniejszy sąd o Beniowskim. Jeśli się z nim zgodzimy, dojdziemy do wniosku, że wartość utworu polega nie na jego epickiej doskonałości, lecz na tych wszystkich osobliwościach, które wieszcz w skarbcu nagromadził w czasie zawrotnych lotów Pegaza w krainy niebieskie, piekielne i te, które leżą w międzyprzestrzeni.

Słowacki był największym lirykiem polskim. Niekarność Pegaza w tej gałęzi poezji mniejbywa szkodliwą, niż w innych dziedzinach. Wziętość swą jako liryk zawdzięcza on wszakże głównie partjom lirycznym, zdobiącym różne większe utwory. Pieśniarzem we właściwym tego słowa znaczeniu nie był. Pieśni, do którejby się rwał śpiew ludzki, nie stworzył. Ujmujące dźwięki—rzewne a tklive—na harfie jego rzadkiemi bywały gośćmi.

Do najpopularniejszych jego wierszy ulotnych należą echa z podróży na Wschód, a więc przedewszystkiem: «Smutno mi Boże».—Piszącemu te słowa zdawało się w młodości, iż jest

to jedyny wiersz, któryby mógł stanąć godnie obok znanego Pożegnania z Childe Harold, i był zdziwiony, gdy usłyszał kiedyś z ust Rodziewiczówny sąd o nim bardzo mało przychylny. Sąd, który jednak nie był pozbawiony podstaw słuszności. Świetną jest retoryka, natomiast smutek, który go przenika, to smutek owej «samotnej na polu kolumny, co głową tylko gwiazdy i obłoki kochała».

Mimo to przemawia on do wyobraźni (szczególnie młodego) czytelnika, który w nim widzi świetny odbłask własnych szarych melancholicznych nastrojów — ubranych w barwy wielkiej piękności.

Zapatrzeni w blaski barw, tracimy z oczu inne niedostatki obrazu.

Rozmowa z Piramidami ładny wiersz, jakich każda bogatsza literatura posiada sporo.

Rytm nastrojowy, myśl końcowa „cierp i pracuj, a bądź dzielny“ dobra, lecz dążąc do niej potykamy się o niedorzeczność. Sam wieszcz pragnie miejsca spoczynku w wielowiekowym faraonów grobowcu, podwoje Piramid przed nim się zamykają

„My umarłych tylko znamy,
Lecz dla ducha trumn nie mamy.

Wieszcz w dalszym ciągu prosi o miejsce spoczynku dla swego narodu, by go tam:

„Pogrześć i nabalsamować
I na późne czasy schować“.

Podwoje się rozwarły. Tam, gdzie dla żywych miejsca niema, można złożyć naród nieśmiertelny „cały wielki“. Nieporozumienia z logiką bywają poetom wybaczone; wywalczyli oni sobie w tym celu szczególne, choć niekoniecznie pochlebne licencje, lecz takich rozdźwięków z logiką do rzędu cennych wartości podnosić nie należy — a jednak Piramidy bywają zaliczane do pereł poezji polskiej.

Prawie ten sam zaszczyt spotkał inny owoc pielgrzymek egipskich. „Pieśń na Nilu“ zaliczana bywa do kwiatów poezji. Jest to jeden z najstarszych utworów wieszcz.

Że ją wieszcz napisał ten, a nie żaden inny, można poznać tylko po usterkach.

Fanfary teatralnej rozpaczy tym razem odegrane na złych instrumentach:

«Wejdę tam, skąd trup wychodzi,
tam mi żyć,
Będę jęczyć, będę wyć,
Serce kęsać nadaremno.
A.. gołębie spać nademną.

Kto ma z rozpaczy wyć i serce kęsać nie myśli o wiankach gołąbków nad głową. To, że wieszcz choć raz w życiu

wiersz słaby napisał, najmniejszej mu ujmę nie czyni, raczej dodatkowem jest świadectwem jego wszechstronności. To, że wiersz podobny w poczet wzorów zaliczany bywa, świadczy również dodatkowo, iż pod hipnozą wielkiego imienia czytelnik i krytyk łatwo bilon za dobrą monetę przyjmuje.

Wracając z nizin Nilu do wyżyn, jako istotne klejnoty liryki Słowackiego w pełni siły, wymienić należy: wiersz na sprowadzenie zwłok Napoleona, — jeden z najlepszych wzorów retoryki lirycznej, pełny podniosłego patosu, akordów wielkiej mocy i majestatu. Wiersz do Laury. To skarga górna i chmurna zbolącego serca, które szczęścia znaleźć nie umie. Wspomnienie Laury *) należy uważać za ozdobne arabeski, w które wieszcz swoje żale stroić lubił. Wiersz zawiera jakby krzyk zbolącej duszy za owem szczęściem, dostępnem dla przeciętnego śmiertelnika, niedostępnem dla pewnej kategorii wybranych — wydziedziczonych.

Uczucie miłości bywa naturalnem źródłem pieśni. Analiza tego uczucia, osłoniętego u Słowackiego mgłą nieprzejrzystą, jest bardzo trudną. Świat objawów jego prawie nie widział.

Anomalja w życiu uczuciowem, jest może przyczyną, iż w spuszczeniu po wielkim liryku, posiadamy moc preludjów, koncertów, nocturnów, scherza, caprecia, ale nie pieśni.

Słowacki był największym dramaturgiem polskim. Z żalem i na to zgodzić się wypada, bo dramaty jego, posiadające wielką wartość poetyczną, w dramatyczną znacznie są słabiej wyposażone, a prawie pozbawione scenicznej.

Nie urodził się jeszcze Arystoteles, któryby napisał prawa wytyczne dla twórczości poetyckiej czasów nowszych. Gdyby przystąpił do ich budowy na podstawie twórczości romantyków, jako pierwsze ustaliłoby musiał zasadę: urąganie wszelkim prawidłom. Shakespeare, praojciec nowego dramatu, stłukł tablice starych przykazań o jedności miejsca, akcji i czasu, odrzucając je precz do graciarni. Jednak w spadku po nim dramat pozostał utworem przeznaczonym przedewszystkiem dla sceny. Dramaty największych i wielkich dramaturgów niemieckich jak Schiller, Goethe, Lessing, Kleist, Grillparzer scenie obceni nie pozostały. Dramaty Słowackiego bywają na niej rzadkim gościem, honoris causa. A distinguished foreigner, który wiele kłopotów przyczynia, a powodzenia nie wróży. Tylko Mázepa stałszym jej bywa domownikiem, jeden z pomników twórczości Słowackiego, który najmniej posiada wydatnych rysów, zdradzających tknięcie genialnej dłoni mistrza. W pewnej recenzji (utworów R. Montgomery) — Macanlay porównywując dwa utwory — powiada: wolę pierwszy, tu przynajmniej rym dźwięczny, w drugim niema ani sensu ani rymów (Nesther rhymes not reason). Dźwięcznych rymów, genialnego barw zamętu, brylantowych

*) L. Sniadeckiej.

blasków rozrzutnie ciskanych z niewyczerpanego rogu obfitości wyobraźni w dramatach Słowackiego niedostatku niema. Natomiast twarze i kształty osób działających, nie zawsze do ludzkich podobne. Zdaje się, że matką ich nie była uczciwa kobieta, lecz jakaś Goplana Rusalka lub Amfitryta. Ruch obrazów, zdarzeń i zderzeń olśniewa i dziwi, a w ciemnym gdzieś kątku ledwo dostrzegalny, siedzi sponiewierany kopciuszek „reason“.

Wielka zaleta duszy artystycznej: wrażliwość potęguje się czasem u Słowackiego do krańców, gdzie zaleta zaletą być przestaje. Siła i piękno zawarte w dziełach innych wieszczów działa nań magnetycznie, przykuwa do siebie, jak większy planeta swego satelitę. Żaden z nowoczesnych wielkich wieszczów tyle sobie cudzych pomysłów nie przyswajał co ten, jeden z najoryginalniejszych, Mistrz przeciwieństw. Beatryx Cenci, utwór dla Słowackiego niezmiernie charakterystyczny, roi się od reminiscencji Shakespearowskich.

Wiedzmy Cencich to rodzone córki—nie, to te same, co działały za dni Macbetha, działają i mówią według starego wzoru. Treść, nawet rytm zachowany. Jedno tylko zmienione: za dni Macbetha były dyskretniejsze, lepiej wychowane—wiedziały kiedy przyjść, kiedy odejść. W pałacu Cencich omal, że się nie pozbyły obawy światła dziennego, pod którym każda porządna wiedźma czuwa wstyd dziewiczy—stały się natrętne, kierują akcją dowolnie, ludzie są w ich rękę marjonetkami.

W całym nastroju dramatu czuć tchnienie Macbethowskie, natomiast pojedyncze epizody przypominają mnie utwory Shakespear'a. Tragedja miłosna Beatrycy z malarzem Girm jest podobna do odpowiednich scen z Romea i Julji, Mnich Anselmo, niefortunny pośrednik i opiekun kochanków—to rodzony brat Opata z tamtego dramatu.

Słowacki nie byłby sobą, gdyby nie nadał dziełu własnego piętna. Piękność formy, powiewność i plastyka czarują czytelnika. Lecz całość dramatu przeprowadzona z właściwym lekceważeniem „reason“.

Rob. Southey nazwał kiedyś szkołę Byrona i Shelleya «szkołą szatańską». Obaj poeci przedstawiają chętnie—to, cośmy zwykli nazywać pierwiastkiem zła,—nie jako przeciwieństwo lecz jako coś pognębnego, odmiennego od tego co nazywamy pierwiastkiem dobra. Podobne myśli bywają nieobce i Słowackiemu, lubuje się on w kreśleniu obrazów potęgi sił fatalnych. Rodzina Cencich pozostaje w rękę mocy piekielnych, jako bezwolne ich narzędzie. Straszni są jej członkowie, ciskający się bezradnie w tych więzach. — Rodzina zabija głowę rodziny, żona—dzieci, męża i ojca potwora w ludzkim ciele, lecz wina porycydów posiada okoliczności łagodzące. To nie są ludzie źli—jeno zły los wtłoczył ich w położenie bez wyjścia.

Ława przysięgłych wyniosłaby werdykt pociągający za sobą jako karę — może tylko pokutę kościelną. Tymczasem

wszyscy dają głowę pod miecz katowski. Śmierć ich nie jest konieczna, jako odkupienie winy—to legalne zabójstwo.

„O Ty, który z każdego kwiatu jad wyssać umiałeś” powiada gdzieś Nietzsche o Wagnerze.—Słowacki, który z Wagnerem wiele cech wspólnych posiada (mówi o tem p. Kridl w książce o antagonizmie wieszczów), i w tym wypadku porównany z nim być może. Własnym natchnieniem podniosły z najlepszych źródeł Shakespeareowskich czerpał.

A wynik? W szczegółach świetny, jak zawsze, a całość pełna rozdźwięków. Wpatrzony w najlepsze wzory sztuki dramatycznej, stworzył utwór ciekawy, osobliwy—lecz dramat niewielkiej wartości.

Przeciwieństwo do fantastycznej Beatryczy stanowi Fantazy, jedyny dramat realistyczny Słowackiego, jaki posiadamy w stanie wykończonym. P. Hösick nazywa go „jedną z najświetniejszych pereł w koronie twórczości Słowackiego”.

Jeśli chodzi o blaski i dźwięki—zapewne, trudno się sprzeczać.

Słońce było mu sprzymierzeńcem, w duszy jego łamały się słoneczne promienie, jak w najpiękniejszym kryształ, dlatego świetlanemi barwami świat ośniewał, jak mało kto przed nim i nikt po nim — gdy o struny lutni uderzył, przestawał być zwykłym śmiertelnikiem, był czarodziejem.

To radio przedziwne od Marconiego cudniejsze, które chwytalo fale barw i tonów z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości — z krain niebieskich, piekielnych i tych które leżą w międzyprzestrzeni, z oceanu i gór szczytów, ze stepów i z borów — z duszy ludzkiej, z Shakespeare’a, Calderona, Byrona, de Vigny i... kto tam wyliczy wszystkie źródła, z których czerpało. Natomiast z falami zdrowego rozsądku, trudno mu było nawiązać łączność — radio i rozsądek odpychały siebie nawzajem, jak dwa niezgodne magnesy.

W Fantazym, według słów prof. Kleinera „udało się Słowackiemu to, co w utworach, czyniących artystę bohaterem stanowi zadanie najtrudniejsze, co przed nim powiodło się Goethemu w Tassie, przedstawić prawdziwego poetę” (str. 282).

Poglądy, jak wyglądać winien prawdziwy poeta, bywają zapewne różne, podobieństwo między Fantazym a Tassesem jest bardzo nikle. Natomiast, jak to stwierdza p. Kleiner, zgodnie z większością znawców Słowackiego, tworząc postać Fantazego — miał on przed oczami, jako wzór, Krasińskiego, swego przyjaciela i niewątpliwie poetę.

Jeśli spór o piękność blasków i dźwięków, w jakie wieszcz Fantazego ozdobił, jest wykluczony, to treść sztuki, jej budowa, pogląd na wartość osoby głównego bohatera, otwiera pole do wielkiej rozbieżności zdań.

Do dworu hr. Respektów na Podolu aż dwóch konkurentów do ręki córki ich Diany zjechało się w jeden dzień;

pierwszy z Rzymu, drugi z Krymu, czy też z Syberji. Zdarza się i w życiu podobny zbieg okoliczności. W sztukach dramatycznych bywa on pospolity.

Major, znajomy syberyjski z doby wygnania Respektów,— przywołując konkurenta, niewątpliwie z całą świadomością jego uczuć i możliwych zamiarów wygnańca Jana, przezornie zabiera z sobą szkatułkę ze skarbami, które był młodej pary, w razie potrzeby, mogłyby zabezpieczyć.

Dom hr. Respektów wycyuty z pieniędzy, jak płatnik podatków za dni p. Grabskiego.

Pierwszy konkurent, Fantazy, z wspaniałą ofertą półmilionu rubli za rękę Diany, przyjęty radośnie przez starych Respektów, jak Ptolomeusz Soter przez gród oblężony.

Diana się burzy, nie chce być sprzedaną, jak cenna jałówka—kosztowny okaz inwentarza żywego,

Ona kocha Jana...

«To za śmiało.

Mój Panie Hrabio—odpowiada na niezręczne oświadczenie Fantazemu wcale po kupiecku,

Zbliżyłeś się pan po towar, gdzie łokieć,

Gdzie szalki?

Ojciec mój daje mnie Tobie a bierze

Twoje pieniądze».

«Duchowi memu dała w pysk i poszła», mówi Fantazy, po tak niefortunnym wyniku.

Tymczasem z Rzymu, czy Krymu, przybyła niespodzianie hr. Idalja, z którą bohater flirtował,—bo kochać on nie umie— w Rzymie w ubiegłym sezonie. Lecz uczucia Idalji przetrwały okres sezonu i przyjechała dziś w pogoni za niewiernym, by śledzić jego kroki i zamiary zdrójcy pokrzyżować.

Tymczasem Major, który musi wiedzieć, co się dzieje w sercu wygnańca Jana i jego młodej przyjaciółki i oboje kocha, jak swoje dzieci, postanawia porwać i wywieźć Idalję, by konkuroom Fantazego nie przeszkadzała. Jakiś kałmuk (Jan jest w przebraniu Baszkira), którego major przywiózł z sobą, ten zamiar uskuteczniła.

Z wichrem w polu, w pogoń za kałmukiem z Idalją, jedzie powozem (w przeprosiny) niewiadomo po co, cała rodzina Rzecznickich — w te pędy Major z Janem, w te pędy Fantazy, za nimi wybiera się Rzecznicki (totumfacki Fantazego) znowu niewiadomo po co z ks. Łogą, grającym w sztuce rolę zupełnie podrzędną.

Tymczasem, przed osieroconym na scenie Rzecznickim, staje we własnej osobie Idalja—Jako! więc nieporwana? zdumiewa się Rzecznicki.—Z rozmowy wylania się wynik osobliwy, iż zamiast Idalji, porwaną została pani Rzecznicka, która zjawiała się niewiadomo po co, pod dworem hr. Respektów, o której istnieniu przed końcem 3 go aktu nikt nie wiedział

i nie słyszał. Nawet wyglądu jej autor nie ustalił. „Hr. Idalja—powiada Fantazy — jest do połowy z mgły, druga połowa bez kości” — wiotka, eteryczna. Pani Rzecznicka musi być podobną do Idalji, tak należy wnosić ze słów jej męża, ze słów Idalji, ze świadectwa Fantazego, który scenę porwania widział zbliżoną, widział jak kalmuk ją podniósł jak «narcyza» «róże co były w jej czarnych warkoczach wytrząsnął». — Tymczasem, w następnych aktach dowiadujemy się, że owa mityczna Rzecznicka jest «czerwoną babą» «żoną kuchciana», czyli wszelkiego z Idalją podobieństwa pozbawioną.

Lecz wróćmy do działań Majora—zmienia on ciągle swoją rolę jak Bileam: gdy ma kłać błogosławi, gdy ma błogosławić klnie.

Przyjaciół Jana i Diany, wbrew ich woli i uczuciom, stał się, w 3 akcie, poplecznikiem Fantazego, lecz w czwartym na wzmiankę Respekta o zięciu, pyta znacząco «który zięć?», a na gniewną odpowiedź Respekta, czyby wątpił o ożenku Fantazego, odpowiada «Jej Bohu wątpię». Tymczasem panna w bunie przeciwko myśli małżeństwa z Fantazym, od zmysłów odchodzi. Zniecierpliwiona tem hr. Respektowa, obelgami Jana częstuje. Urażony Jan, gotów momentalnie opuścić Bogdanę i wracać na Sybir. Major zapomina o swoim zamiarze skojarzenia pary i zgadza się na wyjazd natychmiastowy «Na Sybirze tobie damy dziewcząt piękniejszych», «A kazał ty kalmukowi, drabu, żeby zaprzęgał». Słowem, niezwłocznie, jazda z Podola na Sybir, jakgdyby to był powrót w najbliższe sąsiedztwo. Znowu bez należytego wyjaśnienia zmiany zamiarów, Major zamiast wracać na Sybir, zjawia się koło cmentarza, i wskutek (niezupełnie wyjaśnionej) sprawy honorowej z Fantazym, życie sobie odbiera, lecz przed zgonem kolarzy małżeństwo Diany z Janem, pozostawiając im szkatułkę ze skarbami «wielkie wielkie grosze».

W dramacie tym logika i zdrowy sens trzeszczą we wszystkich stawach, jakby łamanie na łożu Prokrusta. Jeśli mamy zgodzić się ze zdaniem p. Hösicka, nazywającym sztukę «jedną z najcenniejszych pereł», to tylko z uzupełnieniem zawartem w słowach Diany

«to dziwna perła Kałakucka
do perły... niepodobna wcale».

Postać Fantazego jest żywą i ciekawą, wzorował ją wieszcz, jak wiemy, na osobie Krasińskiego, a profesor Kleiner przypisuje jej wartość wielką.

Przyjaźń Słowackiego dla autora Irydjoną, przechodziła różne okresy—miała ona: swój nów, kwadry, pełnię, wreszcie skończyła się zaćmieniem, połączonem z pewnem wyładowaniem elektryczności.

Fantazy urodził się przed, zaćmieniem.



Szczerłość, bez zastrzeżeń, prawda zupełna, nie da się osiągnąć w stosunkach między ludźmi, pozostanie ona dla nich niedoścignioną, jak wszelka doskonałość. Słów prawdy niemiłej słuchają ludzie niechętnie. Prawiąc je bez koniecznej potrzeby, nadwerzęlibyśmy nie jeden dobry stosunek, lecz wolno żywić myśli krytyczne o ludziach nam bliskich, widzieć nietylko zalety, ale i przywary przyjaciela. To nie jest dwulicowością, zaczyna się ona dopiero wtedy, gdy mówimy o jednej i tej samej osobie dwoma głosami: innym w oczy, a innym na stronie. Wobec wyższych duchów, wyższe wymagania stawiać winniśmy. Marne uczucia pospolitego człowieka, mniej nas rązą, niż zagnieżdżone w wielkiej duszy. Podobne myśli przyprowadzają o pewne zakłopotanie bezstronnego krytyka, przy omawianiu stosunku Słowackiego do wielkich jego sąsiadów na Parnasie.

„Jakkolwiek nie bez uśmieszku drwiącego Słowacki wprowadził w Fantazym echa poezji i listów przyjaciela, nigdzie nie zaznaczyła się chęć obniżenia tej poezji” — powiada prof. Kleiner.

Rozdźwięk brzmi w tem zdaniu: „uśmieszek drwiący” jest objawem lekceważenia. „Uśmieszek drwiący” poświęcamy sprawom, które lekceważymy, lub zlekceważyć pragniemy.

W usta Rzecznickiego, kładzie autor niezbyt pochlebne słowa dla twórczości autora Irydjona.

„Ty jesteś pióro, które sonety pisze et andronas scribit” i słowa te na tle nastroju dramatu posiadają dźwięk prawdy. Profesor Kleiner podnosi Słowackiego „delikatność uczuć która pewnych rzeczy dotykać nie pozwalała” (str. 282). Różne bywają poglądy i pojęcia o «delikatności uczuć» i o tem jaką jest typowa postać prawdziwego poety. Poglądy profesora Kleinera, w tym wypadku bodaj, że nie są oparte na mocnych podstawach.

Potyając się z taką powagą, jaką jest w dziedzinie nauki o Słowackim autor ostatniego wielkiego o nim dzieła, będzie bezpieczniej znaleźć świadka o równie wielkim jak on autorytecie, który świadczyć będzie przeciw niemu. Tak świadek obecny.

Zeznaje on o Fantazym: „poza i erotyzm wypełniają mu życie”. (str. 285). „Komedjanctwo wrosło mu w duszę” (ib i d). «Potomek magnackiego rodu w spuściznie otrzymał przesyt, nudę» (str. 287). «Zblazowany sybaryta, znudzony, nieobliczalny, wielki Pan. Gotów on na wszystko, bo ostatecznie wszystko mu jedno». W staraniach o rękę Diany, dał pełnomocnictwo cymbałowi Rzecznickiemu, «bierny, niech za niego ktoś inny myśli i działa, on będzie drwiącym obserwatorem komedji, tem ciekawszej, że chodzi o los własny». „Stan znieczulenia pozwala mu na niesłychany brak delikatności”. „To świadczy jak bardzo brak serca Fantazemu”. „Fantazy potrafił umrzeć tylko jako aktor”. „Jaki artysta ze mną ginie” (str. 285). Qualis artifex! jak marny nikczemny Neron.

Po zgonie Majora, woła ten smętny bohater
„Przez tę śmierć, tak krwawą ciemną
Jestem człowiekiem ochrzczon“.

Austryjackie gadanie, mówi nasz świadek koronny. «Ten kto wzył się w jego psychikę, wie dobrze, iż Fantazy ludzi siebie, linje jego duszy już się nie nagną do pełnego, prawdą tchnącego życia» (str. 292). O ile uznamy te świadectwa za słuszne, dojdziemy do wniosku, że osoba Fantazego jest nikczemną. Czy to postać podobna do pomnika prawdziwego poety, wyrzeźbionego mistrzowską dłonią, za przykładem Goethego? Czy cień podobnej śmieszności i nędzy moralnej, w jaką Słowacki ubrał Fantazego, kałał duszę Krasieńskiego? Czy nakreślenie niedostojnej karykatury jest zgodne z „delikatnością uczuć“? Chyba tylko przecząca odpowiedź jest możliwą i dochodzimy do niej na podstawie świadectw, zawartych w tem samem dziele tego samego profesora Kleinera, który na uprzednich stronach tak przychylny sąd o Fantazym wyrzekł. Dwugłos dziwnie nieuzgodniony.

Niewolno wątpić, iż prof. Kleiner znał Tassa Goethego. Analogję wynalezioną przez niego między nim a Fantazym można sobie jedynie wytłomaczyć przypuszczeniem, iż szanowny autor treść tamtego dzieła *zupełnie zapomniał*. Gdyby stwierdził w każdym calu przeciwieństwo między bohaterami obu utworów, byłby o wiele bliższy prawdy.

Tasso zna świat i ludzi przez intuicję, mistrz w dziedzinie wyobraźni, w praktycznem zetknięciu się z nimi jest niemal dzieckiem bezradnem. Skromne jeszcze w świecie stanowisko, zawdzięcza własnemu talentowi i względom Dworu. Kocha sercem gorącym, ubóstwiając przedmiot miłości, zgoła dlań niedostępny. Nadmiernie wrażliwy, ulega ciągłym urojeniom i sam siebie o cierpienia przyprawia. Wyciągając dłoń po różę, kolcami się kaleczy. Przez przejścia bolesne dochodzi wreszcie do przeświadczenia, iż rozsądek i rozwaga w życiu pożyteczne bywają, jak owa skała, na której rozbitek szuka ratunku z ucisku mordergo żywiołu.

Gdzie tu podobieństwo do owego wielkoświatowego bywalca, zawdzięczającego stanowisko przedewszystkiem wielkiej fortunie, nie własnej zasłudze. Estetyzującego dyletanta, „który sonety pisze et andronas“, nieumiejącego kochać egoisty?

Kiedyś jego „ogniem serdecznym“ „różne się karmiły salamandry“, dziś po wychyleniu czary życiowych rozkoszy, nic mu do smaku nie przypada.

W czasie pisania Fantazego (koniec 1841 lub początek 42 r.) „przyjaźń“ z Krasieńskim i przyjazna wymiana listów trwały jeszcze. Widok załośny przedstawiają dzieje wzajemnych stosunków naszych wielkich wieszczów, a raczej stosunek Słowackiego do swoich dwóch, najbliższych na Parnasie sąsiadów. Pełno tu

rysów, których wolałoby się w duszy wielkiego poety nie widzieć; dominującym jest zazdrość.

Na wyżynach twórczości spotkali się Goethe z Schillerem, zrazu niechętnem i nieufnem okiem spoglądał jeden na drugiego. Rozum i dobra wola rozwiały cienie uprzedzeń. Poznali wzajemnie swoją wartość, nauczyli się ją cenić i szanować. Cenny owoc pracy ducha jednego stanowił przedmiot przyjaznego podziwu i podniety dla drugiego. W twórczości sobie pomagali, dodawali bodźca. Powodzenie jednego wywoływało w przyjaznej duszy niewybuczy zazdrości lecz chęć dostrojenia własnej lutni na wyższy ton, który tylko co błysnął przykładem. Wysokie wyszkolenie filozoficzne umysłu obu wieszczów, ułatwiało im wzajemne zrozumienie siebie.

Odmienny był przyjazny stosunek największych wieszczów angielskich ubiegłego stulecia: Byrona i Shelley'a. Podstawę jego nie stworzyło, ani owo głębokie wyszkolenie filozoficzne, ani odpowiedni wzajemny szacunek wartości umysłowych, Shelley rozumiał Byrona, podziwiał orli lot jego myśli i potęgę uczucia. Jak w rozmowach tak i w pismach nie szczędził słów uznania dla jego genjuszu. Byron cenił lotność umysłu i prawosć charakteru Shelley'a, lecz poetyckiego talentu zdawał się nie doceniać. Niedola obu w życiu rodzinnem, jako też rozterka z własnym społeczeństwem, zbliżyła ich do siebie.

Los w pewnym zakresie nie szczędził Byronowi przyjaznych uśmiechów. Pieśń jego zdobyła mu sławy wawrzyny z błyskawiczną szybkością. Słodki owoc pracy własnej, nad zdobyciem którego inni pracowali w mękach Tantala, stał się łatwo jego udziałem. Zdobyć wieńca sławy serce radością napelnia, niestety radośnym uderzeniem jego towarzyszą często żałośnie skurcze organów trawienia. Sława z głodem w parze chodzić umie. Krocząc na powitanie Byrona wyrzekła się ona złego towarzystwa. Obdarzyła go nie tylko wieńcem blasków,—upragnioną ozdobą dumnego czoła—lecz i obfitością złota o miłym dźwięku pełnowartościowej waluty. Poczytne dzieła zdobywały dlań nie tylko rozgłos wszechświatowy, lecz i bardzo poważne zyski.

Wobec Shelley'a zachowała się fortuna inaczej—po marnoczemu. Gdy Byron się pławił w blasku chwaty, Shelley trwał w cieniu zapoznania. Na tęczowe światła jego utworów spoglądała publiczność—przez czas dłuższy—z tępą obojętnością, jakby bielmem porażona. Kwiaty uczucia, myśli kryształ, barwne obrazy jego wyobraźni nie wywoływały ani zachwyty, ani popytu. A jednak ta niesprawiedliwość losu: jednostronne uprzywilejowanie Byrona, nie zasnuły czarnymi chmurami pogodnego nieba przyjaźni. Dla dąsów, gniewu, wybuchów zazdrości, pozostawał Shelley nieprzystępny. Dodać wypada, iż w stosunku tych dwóch ludzi znalazłyby się daleko poważniejsze powody do żalu

—ze strony Shelley'a do Byrona—niż te, które drażniły Słowackiego w stosunku do Krasińskiego: iż nie zdołał wyrugować przywiązania do niego, z serca pani Bobrowej.

Jak u owego współzawodnika, o którym Martial śpiewa:

Rumpitur invidia, quidam carissime Iuli

Quod me Roma legit rumpitur invidia

tak i u Słowackiego uczucie współzawodnictwa było kluczem do nieporozumienia z obu wielkimi współczesnymi mu wieszczami. W'niechęci bywał zawzięty, nie szczędził ciosów dla osób, które gniew w nim wzbudzały, choćby posiadał względem nich długi wdzięczności. W obcowaniu z Krasińskim, w latach poprzedzających zaćmienie przyjaźni, wiele się nauczył, wiele skorzystał, przyznaje to on sam, jako też jego biografowie. Krasiński w owym okresie był mu poniekąd Aligierem, przewodnikiem. Odwrotny stosunek nigdy nie miał miejsca. W swoim pomnikowym dziele prof. Treliak cały szereg stronic umieszcza pod nagłówkiem „Słowacki w roli mistrza Krasińskiego“. Słowa te mogą w błąd wprowadzić czytelnika.

Krasiński w stosunkach z ludźmi dawał liczne dowody względności i dobrych uczuć. Po zerwaniu pierwszego okresu wymiany listów i po pociskach jakimi go dawny przyjaciel uraczył w „Księdzu Marku“—zaciekawienie i dobra pamięć dla towarzysza dawnych rojeń w nim nie wygasły. Pragnął odnowić wymianę myśli, choć dobrze wiedział z kim miał do czynienia, wiedział, że „jaknajostroźniej trzeba z naturami tak dalece przeczulonemi“ (list Krasińskiego). Od człowieka o podobnym nastroju, przenikniętego obłądną wiarą we własną anielskość i jasnowidzenie, ani się spodziewał nauki, ani przyjąć pragnął światła „nowej wiedzy“. Niewielu ludzi było równie uzdolnionych jak Krasiński do przeniknięcia krytycznym wzrokiem mateczników nowej filozofji Słowackiego. Te mateczniki:

Obronne trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeni i kłębami węzowisk,
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą
Wielkie jest podobieństwo, że...

znał on je, choć nie widział, równie dobrze, jak Mickiewicz ów „puszcz litewskich matecznik“. Uzbrojony w tę wiedzę, żadnej nie miał ochoty zapuszczać się w jego czeluści, by później uciekać stamtąd „skowycząc z obłąkanym wzrokiem“.

Niech tam sobie króluje, jak ów biały Kobra w podziemiach zaczarowanego skarbcza indyjskiego, roziskrzonego wszelkimi cudami ze świata minerałów—komu z teni dobrze, ale podążać za nim, prosić go o „mistrzowanie“? Nic nie było bardziej obcem Krasińskiemu.

W zyciorysach Słowackiego i pracach poświęconych wzajemnemu stosunkowi naszych trzech wielkich poetów, wszyscy prawie autorowie stwierdzają zgodnie, iż — mimo spory i wycieczki polemiczne, Słowacki nie odmawiał uznania swoim wielkim kolegom. Zupełnie odmienne dwa głosy, jakimi do nich i o nich mówić umiał, tworzą przykry rozdzźwięk.

Do Krasieńskiego, ośmieszono go w Fantazym, a w wierszu „do autora trzech psalmów“ sponiewieranego, jako ten co „z kochankami mdlejąc lata, włosy spleta i rozpleta“ — spotykamy takie zwroty w listach, z początku 46 roku: „Ty jesteś duch Boży, jeden z wielkich aniołów narodu“. „Myśl Twoja piękna, ognista“. „Czuje, żeś silny jest i że milion ludzi podniesiesz“ „Szczерze, jako człowiek Ty jeden jesteś nadzieją moją“.

Gdy słowa te były pisane, ostra odpowiedź na „psalm miłości“ spoczywała jeszcze w tece autora. Ciekawa treść sporu obu psalmistów, wielokrotnie omawiana, jest naogół trafnie oświetloną przez profesorów Małeckiego i Tretiaka. Odchylenia późniejszych krytyków od owego sądu niezawsze są słuszne. Jeden z nich przeciwstawia wyniosłe stanowisko Słowackiego wobec nieszczęsnych wypadków 46 r., patzącego na nie z wysokości planetarnych, w przeciwieństwie do poziomych obaw Krasieńskiego. Pan Kridl w pracy „Antagonizm wieszczów“ lekceważy „małoduszny lęk“ jego, w porównaniu z „szerszem i głębszem widzeniem rzeczy“ Słowackiego. „Bohaterską duszę“ Mickiewicza wzywa, jak świadka koronnego przeciwko „łękiwemu i płacziwemu stanowisku“ autora Psalmów.

Pięknem jest stanowisko sędziego dziejowych wypadków, który serce swoje z poziomych namietności ludzkich oczyścił, a rozum w słoneczną przenikliwość uzbroił potrafił. Z oddalenia czasu i przestrzeni, rozmiary wypadków i rzeczy przedstawiają się oczom naszym we właściwym stosunku, pagórki poniżone nie bywają, doliny wywyższone. Z planetarnych wyżyn inaczej rzeczy ludzkie wyglądają, niż w bliskim z nimi zetknięciu.

Jeno wystrzegać się należy wyżyn zbyt wyniosłych — bo wzrok ludzki jest krótki — by nie znaleźć się w położeniu ślepego, któremu o kolorach sądzić dano. Zresztą w Eljaszowy płaszcz — sędziego, który się jakoby wzniósł ponad ziemskie ułomności i niedoskonałości, — chętnie się stroją Faryzeusze.

Nie wiem, czy słusznem jest nazywanie silnych i mężnych słów „psalmu miłości“ „płacziwemi“, wątpię, by przenikliwość rozumu, który przewidział groźne wypadki rzezi galicyjskiej 46 go roku, wolno było nazywać „łękiwością“. Z planetarnych wyżyn, — z punktu „szerszego i głębszego widzenia“, jaki p. Kridl przypisuje Słowackiemu, — łatwo dojść do wniosku, że i to, co się za dni naszych działo i dzieje w Rosji — zważone na szalach wieczności — ani trwogi, ani oburzenia wzbudzać nie powinno.

Chyba, że klęska spada na jaki naród wybrany lub grupę ludzi dziś uprzywilejowaną. Wtedy zmiana dekoracji i gwiazdziste godła sądu planetarnego w kął odrzucone, odwołujemy się do «poziomych» (w tamtym wypadku) uczuć ludzkości. Niech grają dzwony na lament i trwozę, niech się rozlega krzyk oburzenia, jak huk dział donośny!

W sporze o wypadki 46-go roku słuszność była po stronie tego, który patrzył na nie mądrze, o ile na to rozum ludzki pozwala, i z miłością bliźniego, która po wsze czasy przednią ozdobą serca ludzkiego pozostanie. Na mędrców, którzy jakoby ważą na szalach wieczności, podejrzliwie patrzeć należy. Szale wieczności, to przyrząd, do którego dłoń ludzka nie dorosła. Ważyć sprawy ludzkie na szalach wieczności wolno tylko — Bogu.

Po wymianie gromów z psalterza, o pojednaniu zagniewanych wieszczów nie było już mowy. W wierszu z czasów «luny przedzgonnej» z r. 48 ego, Słowacki takie uwagi poświęca b. przyjacielowi

„Chcesz wiedzieć, czem dziś byłby nasz kraj odzyskany
W trzydziestym pierwszym roku...?

Polska miałaby Króla, na jego dworze działyby się różne osobliwości, między innymi Krasinski

„wieszcz ciemny, w swoich drogach skryty,
Wlatując w dwór przez okno, albo przez kobiety
Znikałby, nawarzywszy kwaśnych intryg piwa,
Sądząc, że dramat ciemny—z królami odgrywa“.

Potrzebne było miłujące oko b. przyjaciela, by w autorze Irydjonu skłonność do tego rodzaju piwowarstwa odkryć. Sądzę bezstronny od tego zarzutu niewątpliwie go uwolni.

Pewien wybitny i ambitny dyplomata niemiecki, w nie-wczesnym wybuchu szczerości, wyznał kiedyś przed Bismarckiem, iż każdą wyżej postawioną w dyplomacji osobistość uważa za swego nieprzyjaciela, zagrządzającego mu drogę do najwyższych szczebli.

Bismarck, nieobdarzony sercem gołębiem, dobrze sobie to naiwne wyznanie zapamiętał i w odpowiedniej chwili ambitnego dyplomata stracił w przepaść nicości. Podobne ambitne uczucia gnieźdzą się nie tylko w sercach dyptomatów—nie obce bywają i poetom.

W podobnych uczuciach znalazł niewyczerpane zasoby paliwa znicz niechęci Słowackiego względem Mickiewicza. Wizerunek o niepoehlebnych rysach ojczyrna Słowackiego—profesora Becu, umieszczony w 3-iej części „Dziadów“, był tylko dodatkowym bodźcem do utrzymania tego znicza w należytej sile. Obecność jego daje się zauważyć w odezwach i listach z okresu przed-Dziadowskiego. Upiór D-ra Becu nie był tym straszakiem, któryby go gnał — jak Eumenidy Oresta — w niepokoju z miejsca na miejsce. Przypuszczenie prof. Mateckiego, jakoby mło-

dego poetę wygnał w Warszawy w 31 roku Leleweł obrazem jego ojczyzna, nakreślonym w czarnych barwach w broszurze «Nowosilcow w Wilnie»—jest zupełnie dowolne.

Z zamiarem wyjazdu z Paryża nosił się Słowacki—jak to widać z listów jego—przed materjalizacją Dra Becu w Dziadach. Ukazanie się tej przykrew zjawy niewątpliwie przyspieszyło wykonanie zamiaru, dojrzewającego w sercu z innych powodów. Jak Cezar, który poczytywał zajmowanie drugiego stanowiska w Rzymie za upakarzające, tak on wolał być pierwszym w pensjonacie pani Pateg pod Genewą, niż drugim z poetów wśród emigracji polskiej w Paryżu.

Gdy po kilku latach dosyć urozmaiconego życia: pobytu w Szwajcarii i Florencji, podróży włoskiej i wędrówek po słonecznych szlakach Wschodu — wrócił do gwarnej stolicy Francji, znalazł położenie nie zmienionem. Autor Pana Tadeusza stał na pierwszym miejscu, a jego własny bogaty dorobek poetycki nie wywołał odpowiedniego poklasku. Krasieński rozumiał go i ocenił, ale «Wielki pierwszy» pozostawał obojętny, zdawał się nie słyszeć cudownych dźwięków złotej lutni.

Sąd wielkiego kompozytora o innych mistrzach muzyki bywa obciążony pewną jednostronnością i niezgodny z sądem wytrawnego krytyka. Gdybyśmy przyjęli sąd Wagnera za miarodajny, musielibyśmy wyrzucić z muzycznego Panteonu cały szereg mistrzów, cieszących się do dziś dnia uznaniem krytyki i uwielbieniem miłośników muzyki. To samo zjawisko bywa powszedniem w gronie filozofów, od czasów najdawniejszych: Arystoteles zdawał się lekceważyć mądrość Platona, w czasach nowszych Voltaire szydził z Leibniza, Fichte za nic miał naukę wielu myślicieli współczesnych jemu i starszych, Schopenhauer mianem kretyńców częstował cały szereg powag świata filozoficznego.

To samo można powiedzieć o wielkich poetach. Victor Hugo nie posiadał zdrowego sądu o utworach innych wieszczów, nie posiadał go i Byron. Nawet wszechstronny umysł Goethe'go w sądach o poezji bywał jednostronny. Wielu wybitnych poetów ubiegało się napróżno o jego uznanie. Heine żartuje, iż jego pochwała w tej dziedzinie posiadała wartość «patentu na miernotę».

Można się tedy nie dziwić, że i sąd Mickiewicza mógł być mylny i że, pomijając wszelkie osobiste uczucia—wartości utworów Słowackiego mógł nie doceniać.

Pewno, że uczucia, które żywił wobec młodszego rywala, były nienajlepsze. Skłonność do osobistego współzawodnictwa była rdzennie obcą naturze Mickiewicza. Tworzył w prostocie ducha, gdy mu iskra Boża płomień w sercu zapaliła, bez myśli o współzawodnictwie. Dlatego niesmak w nim wzbudzał ów Ajaks osobliwy, następujący mu ciągle na pięty, by się z nim duchem mierzyć.

W wielu wypadkach przywykliśmy inaczej sądzić mężów o wielkiem umyśle, jak przeciętnego śmiertelnika. Wszakże, względności sądu winny być zakreślone pewne granice, poza-którymi leży dziedzina umysłowej anarchji. Gniewne akordy spotykamy często w utworach Beethovena, o demonicznej sile —czasem zagadkowej treści. Próżno wytężamy myśl, by je ująć w formę dla wzroku ducha widomą—pozostają one nieuchwytnie dla myśli ścistej, jak widma dla dłoni ludzkiej. Jeśli by Słowacki posiadał zdolności mistrza tonów, znalazłby niewątpliwie ujęcie dla wysokiego ciśnienia uczucia współzawodnictwa, w gwałtownym, burzliwym, a świetnym utworze, w rodzaju Beethovenowskiego Korjolana. Choćbyśmy posiadali pewność, iż dźwięczne gromy są w serce Mickiewicza wymierzone, ścisła myśl, widziana przez tęczę dźwięków, nie przybrałaby w oczach naszych kształtów cielesnych.—Różne bywały źródła natchnienia, różne błyskały myśli w głowach dźwięków mistrzów, gdy snuli słoneczną lub piorunową przędzę harmonji. Ale nikt nigdy za myśli lub uczucia, w dźwięków szatę odziane, do odpowiedzialności pociągnięty nie został. Słowo jest pozbawione przywileju nieodpowiedzialności—sąd dla niego zawsze otwarty.

Pogrom Mickiewicza in contumaciam, bo Mickiewicz na wszelkie wyzwania odpowiadał milczeniem, w końcowych strofach piątej pieśni Beniowskiego został, niestety, odziany w szatę słów. Oczarowany formą, rymem i rytmem, czytelnik o treści ich zapominać nie powinien. Tworzą one punkt kulminacyjny nieboskiej komedji niechęci Słowackiego do Mojżesza poezji polskiej.

Bezpośredni powód do wybuchu gniewu dały niekorzystne dla Słowackiego gawędy i odezwy, rozpowszechniane, po tak zwanych improwizacjach obu wieszczów, w czasie uczty wydanej przez emigrantów w Paryżu na cześć Mickiewicza, w ostatnich dniach roku 1840.—Prof. Tretiak czyni o improwizacjach bardzo trafne uwagi: „Słowacki mógł być pewnym, przyjmując zaproszenie na ucztę, że będzie wezwany do przemówienia, czy to wierszem, czy prozą, na cześć Mickiewicza, dlatego to improwizacje jego były zapewne zgóry obmyślane, nie były we właściwym tego słowa znaczeniu improwizacjami. Tak przypuszczać każe przedewszystkiem okoliczność, że Słowacki nigdy, ani przedtem, ani potem, nie występował jako improwizator, nie miał tego zadziwiającego daru, którym jaśniał i tak podbijał serca słuchaczy i widzów, w pewnym okresie swego życia, Mickiewicz”.

„Wrażenie, wywołane improwizacją Mickiewicza, było ogromne, nietylko dla jej treści i tonu, nietylko z powodu nastroju obecnych i ich wytężonego oczekiwania, czy odezwie się wielki poeta, którego głosu poetyckiego dawno nie słyszano, ale także z powodu dziwnego przeobrażenia w twarzy poety, gdy schodziło nań natchnienie, gdy poczuwał w sobie siłę impro-

wizatorską“ „I na Słowackiego nietylko to, co znalazł on pochlebnego dla siebie w odpowiedzi Mickiewicza, ale sam ów czar, promieniejący z natchnionej postaci poety, musiał działać, skoro i on według własnego świadectwa obejmował braterskim uściskiem Mickiewicza, a nawet, jak niektórzy twierdzili, płakał“.

Lecz z siłami fatalnemi niema związków trwałych, czynią one prędkie zwroty—powiada Schiller. Dobre uczucia, często eteru cechy posiadają, ulatniają się szybko. O ile pod wrażeniem improwizacji i podniosłego nastroju, jaki one wywołały, Słowacki chwilowo zapomniał przeciwności osobiste, a o żadnych zasadniczych nie myślał, o tyle—po krótkim przeciągu czasu—stłumiony płomień niechęci jał rwać się w górę z pod warstwy niezastygłych popiołów, rozdmuchany przez nieszczęsne gawędy emigracyjnych plotkarkomów. Znowu przyznawano pierwszeństwo i zwycięstwo „dawnemu Bogu“?

Choć Mickiewicz trzymał się na uboczu i żadnego udziału w tych zbyt rychłych, a nieścisłych gawędach nie przyjmował, urażony poeta zwrócił ostrze gniewu prosto w piersi znieawidzonego rywala.

Gdy Słowacki zrywał się do walki, wybór dogodnej pozycji nie przedstawiał dlań trudności: przeciwnikowi przypisywał niedorzeczne myśli i dążności, z którymi łatwo się rozprawał. Jak Krasieńskiemu kładł w usta nauczanie narodu, iż

«Cnotą naszą znieść niewolę»,

herezję, od której autor Frydiona stał nieskończenie daleko, tak w chwili gniewu odkrył, iż Mickiewicz prowadzi lud na bezdroża:

Ha! ha! mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świecił gdzie? portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione śmiecie
Gnacie.

Ani zarzut pierwszy, ani drugi, zupełnie niejasno streszczony, uzasadnione być nie mogą. Zresztą posiadają tylko podrzędne znaczenie w tych wynurzeniach, naogół ściśle osobistej natury.

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? Co się Bogiem zemną mierzył?
Ja go chcę jeszcze, w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczora go w piersi uderzył.

Ha! ha! odkryłeś mi się mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam,
Patrząc na twoją twarz zieloną,

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem
Niepowalonym, hardym i straszliwym...
...choć byś Bogiem był, ja jestem żywym
Gotów wężowym bałwan smagać biczem.
Legnie przedemną.. Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo

Zabiję, trupa twego będę włóczył!

Prof. Kleiner, który podnosił „delikatność uczuć“ Słowackiego przy tworzeniu wizerunku autora Irydjona w „Fantazym“, opuścił, omawiając finał 5 ej pieśni „Beniowskiego“, dobrą sposobność pochwalenia, ku zbudowaniu czytelnika, powściągliwości i względności wieszczą „Zabiję, trupa twego będę włóczył“, lecz o rzuceniu go na pożarcie.. powiedzmy.. lwom nic nie wspomina. Wszak to uznania godne umiarkowanie? „I marvel that his grace did leave it out“ (Ryszard III).

Ponieważ wszakże szanowny profesor tego zastrzeżenia nie uczynił, niech nam wolno będzie tym razem nowy objaw „delikatności uczuć“ wieszczą pominąć, a stwierdzić, iż podobnego wybuchu nieodpowiedzialnego gniewu jednego wieszczą przeciwko drugiemu nie znajdziemy w żadnej innej literaturze. Swift, Voltaire, Heine bywali zabójczo złośliwymi cynikami w swoich polemikach, ale takie bezpośrednie skakanie do gardła znenawidzonej osoby jest w literaturze, bodaj, bezprzykładne. Plama rdzy przyćmiłaby pamięć człowieka, skłonnego do podobnej orgji nienawiści, gdybyśmy go sądzili na podstawie praw obowiązujących w stosunkach ogólnie ludzkich.

Słowacki zdobył, niekoniecznie pożądaną przywilej, stosowania w sądzie o nim praw wyjątkowych. Wulkan za wybuch, tajfun za szalę zniszczenia do odpowiedzialności pociągany nie bywa.

Niewątpliwie, iż wieża z kości słoniowej poezji Mickiewicza i pełna powagi wyniosła postać jego, wzbudzały w autorze „Beniowskiego“ obok złych uczuć, szacunek, często podziw. Dlatego spotykamy w pismach jego, obok wyrazów uczucia gniewu i niechęci, słowa uznania dla autora Pana Tadeusza — lecz pierwsze uczucie utrzymuje przewagę i jest trwałe. Jak cień w żywym ciele drażni go urojenie, iż Mickiewiczowskie wyżyny zastaniają mu słońce. Urojenia te ścigają go, przez turnie i wirchy Króla-Ducha, aż do schyłku dni żywota. W Zorjanie, w św. Stanisławie i w innych osobistościach domyślają się komentatorowie uosobienia ducha Mickiewiczowskiego z uprzednich bytowań. Część tych domysłów posiada poważne podobieństwo do prawdy. W każdym razie nie ulega wątpliwości, iż echa dawnych zatargów rozlegają się w rapsodach królewskich dosyć często.

Różnem bywa ich brzmienie, czasem poważne, jak w opowieści sporu wędzy Św. Stanisławem a Śmiałym, czasem cierpkie, przypominające uszczypliwe uwagi w „Beniowskim“.

W drugiej pieśni rapsodu Miecz a Sława, wśród barwnych opisów zmierzchu bogów pogańskich, znajdujemy obrazek exodusu węzów świętych zapuszczonej świątyni:

„...tak się ze swą gęślarzyczą
Zmówiwszy, ów gad na wielkie niedole
Wazył—i wołał iść przed wzgardą w pole

Wiekil a tego bólu nie zwycięzę,
Ze mną wzgardziły wtenczas—nawet węże“.

Gdy tak rozmyśla o owych gadach, które wywędrowały w obcą dal, wążąc się «na wielkie niedole», zdaje się mu błyskać myśl, o podobieństwie ich do braci emigrantów w Paryżu, o nieporozumieniach z nimi i z Mickiewiczem, który w tem gronie więcej od niego posiadał zwolenników...

Zmiłuj się Chryste—dostyc już! Ta czysta
Dusza nie mogła wtenczas wiedzieć, Panie,
Ze mi na puszczech, gdzieś za lat czterysta,
Przyjdzie wojować to emigrowanie
Ze i powietrzny ów duch cymbalista wstanie.

„Za lat czterysta“—zapewne dla rymu—użyte w znaczeniu po wielu wiekach. „Duch cymbalista“ wspomniany w jednej z uprzednich strof, jako „dawny bóg“ w odlocie:

Gdy ów *duch pierwszy*
Z brzękiem cymbalnych różnych instrumentów,
Przeszedł, jako wiatr nad wierzchami gmachu
Z muzyką smętną i *urokiem strachu*.

Jak „ów *duch pierwszy*“ pogański, zwany Anubin, uchodził przed mocą chrześcijańską Juljuszowego ducha w jednym z prabytów, tak „po latach czterysta“ — Mickiewicz „bóg litewski z czarnego sosen uroczyska“, musiał w proch runąć «z urokiem strachu» przed trąbą Jerychońską jego pieśni.

Lecz Mojżesz poezji polskiej ostał się żyw—pod huraganowym ogniem trąb Jozuego. — Nie uległ rzekomemu losowi Mojżesza biblijnego, który, według przypuszczeń Goethe’go—wyrażonych w krytycznych uwagach o starym testamencie, — odszedł na tamten świat z głuchych ustroni góry Neb przy wydatnej pomocy swego następcy. Wieża z kości słoniowej ostała się niewzruszona, jak starożytne posągi pustyni, które trwają, choć wokoło nich szaleje «huragan z afrykańskich pierwszy wichrzycieli».

Nim przystąpimy do uwag o Królu-Duchu, niezrównanej,—według miarodajnego zdania znawców—korony dzieł wieszczca, godzi się zastanowić nad ogólnym charakterem jego twórczości. Słowacki był niewątpliwie jednym z największych romantyków — do twórczości w duchu klasycznym skłonności nie po-

siadał. Fantastyczny w wysokim stopniu, lubował się w zjawiskach i zdarzeniach nadprzyrodzonych, w rozbującej wyobraźni chętnie przemieniał «ziemską dolę w żywot ducha na księżycu». Piękno przyrody odczuwał doskonale i kreślił jej obrazy dłonią genialnego artysty.

Nad wiosennym błękitem wód Goplańskich, leci Skierka w tęczach bańki, z wód kryształu. W podobnej bańce—olbrzymich rozmiarów — zasklepił się Słowacki — w niej unosił się nad światem i przez szklane tęczowe jej ściany na świat i ludzi spoglądał. Stąd niepowszednie barwy jego obrazów — osobliwe nieraz kształty i cera postaci ludzkich.

Są to wszystko cechy właściwe romantikom, obce duchowi literatury Helleńskiej. Shelley był dobrym znawcą literatury greckiej. Znał ją i miłował. Mimo to wątpię, czy było by słusznem nazywać go prawdziwym Hellenistą.

Kultura jest owocem pracy wieków i pokoleń. Kultura grecka, to źródło, z którego powstały wszystkie strumienie i rozgałęzienia kultury europejskiej. Duch Hellenizmu nie jest obcy przeciętnemu Europejczykowi, o wyższej kulturze. W takim rozumieniu mógł i Słowacki być Hellenistą, — lecz „prawdziwego Hellenistę” nie wyrzeźbi z niego nawet p. Sinko z całym nakładem swej pracy i erudycji (T. Sinko, Hellenizm Juliusza Słowackiego).

W jego własnej książce znajdujemy dowody, iż znajomość wieszczą literatury greckiej niepozbawiona była poważnych wyłomów. Czy można nazwać znawcą lub miłośnikiem któregośkolwiek z wielkich wieszczów, osobę, która by nie znała przynajmniej najlepszych dzieł jego? Można wielbić Goethego, nie znając całego kompleksu jego bardzo licznych i różnorodnych pism, ale nie jest znawcą tego poety, kto np. nie zna „Tassa”. Twórczość Goethego była bardzo rozległa, —natomiast spuścizna po Homerze jest szczupła. Kto nie zna Odyssei — komu obcą jest połowa dzieł Homera, nie jest dobrym znawcą, ani jego, ani literatury greckiej wogóle. Tymczasem Słowacki nie znał jej — podług świadectwa p. Sinki. Znajomość Iljady i Odyssei — powiada pewien filolog niemiecki, jest nieodzowną dla każdego prawdziwie wykształconego człowieka.

Również drugim odkryciem psuje p. Sinko dobrą sławę Słowackiego, jako Hellenisty, „Uczeni — powiada on — zgadzają się na to, że Słowacki nie przekładał (Iljady) z tekstu greckiego i wcale go zapewne nie miał przed sobą, głosili że opierał się może tylko na tekście francuskim”. „Śledzenie takich śladów przekładów francuskich nie doprowadzi do żadnego rezultatu, z tego prostego powodu, że Słowacki, pisząc swą Iljadę, miał przed sobą przekład nie francuski lecz angielski i to... Aleksandra Pope'a”. Twierdzenie to popiera p. Sinko, w dalszych wywodach, niezbitymi dowodami,

Eleganckie, barwne tłumaczenie Pope'a—nielada smokołyk dla gastronomów literatury — posiada w Anglii swą ustaloną opinię. Dwa świadectwa angielskich literatów (p. p. Chambers i Taltan) wystarczą, by ją sobie uprzytomnić: fatalna łatwość z jaką Pope rymy dobierał, fałszywe ornamenty w jakie zdobił mowę Homera, odchylenia od oryginału — to są wady dziś ogólnie uznane. Pracę jego ledwo, że wolno nazwać tłumaczeniem. Język grecki znał on bardzo słabo. Jest to raczej wierszowane odtworzenie cudzego utworu. Jest ono gładkie, jasne, łatwe do czytania, lecz nie posiada tchnienia staro-greckiej prostoty i ognia. Iljada Homera to owoc zwiatrem owianych równin Troi, z brzegów burzliwego morza. Iljada Pope'a to owoc z ładnie uprawionego ogrodu.

Kto nieznał Odyssei, a Iljadę z rąk Pope'a przyjmował, nie zostanie uznany za pomazańca Hellenizmu, choćby mu p. Sinko jeszcze większą ilość olejków helleńskich na głowę wylał, choćby napisał nie jeden, ale trzy tomy, o rzekomym „Hellenizmie Słowackiego”. Uwierzą mu tylko dyletanci, lub ludzie zaślepieni urojeniem. Wawrzyny Słowackiego są dosyć obfite, by nie uznać, sztuczne do nich dodatki, za zbędne; korona ich zawsze podziw wzbudzać będzie, nawet gdy mniej trwałe listki zwiędną i opadną.

Podobno—Michał Anioł nosił się z zamiarem wykucia z jednego ze szczytów gór marmurowych pomnika olbrzymich rozmiarów. Szczęściem nie przystąpił do tej pracy, prześcigającej siły ludzkie. Praca wielkiego umysłu, zużyta nawet w błędnym kierunku, wydaje niekiedy plon okazały, lecz stokroć będzie owocniejszą, zwrócona na właściwe tory.

Podobnym był pomysł Słowackiego, gdy począł budowę Króla—Ducha, w którym miał przedstawić — myśli i działania wodza narodu polskiego, kształtującego dzieje jego w ciągu wieków. Zaczął pracę od dziejów bajecznych, zamierzał je doprowadzić do dni ostatnich, w których ów odwieczny Król—Duch, wódz i twórca myśli narodowej, objawił się w jego własnym ciele. Przeniknięty, głównie pod wpływem nauki Towiańskiego, wiarą w metempsychozę, wieszcz uprzednie bytowania Króla Ducha poczytywał za prabyt własny. Duch jego dzierżył w dłoni losy narodu, w chwilach przełomowych i twórczych.

W ostatniem, obecnem wcieleniu, nie posiadał ani barwnych oznak zewnętrznych władzy, ani świetnego urzędowego stanowiska, lecz Pan Bóg,—według jego mniemania—rozmawiał z nim —bodaj bardziej wyczerpująco, niż ongi z Mojżeszem, a Aniołom był znany jego adres i odwiedzali go w mieszkanku paryskim. O przyjęciu tak wysokich gości w skromnych komnatach wieszcz wspomina z pewnem zakłopotaniem. Odwiedziny anielskie u Piasta odbywały się w lepszych warunkach.

Nie mogę dziś was tak, jako przed wieki
Przyjąć, w prostocie serca w moim dworze;
Bo nie mam dachu, — — — — —

— — — — — Ani wam położyć
Miodu złotego z królewskiej pasieki,
Ani rozsypię w progach złote zboże,
Z przyjąć niegdyś Król Duch byłem sławny,

— — — — —
A jednak wy mię znowu nawiedzacie
O, duchy . . . patrząc tu na moje ściany
Zdziwione prawie, że jestem w cudzej chacie —

— — — — —
Napróżnoż wy się nademną rozczulacie,
Bo mię nie bolą wcale moje rany,

(str. 32, 33 Raps II pieśń II).

Czytając Króla-Ducha należy mieć w pamięci tę metempsychiczną hipotezę, którą wieszcz umiłował, jako pewnik stwierdzony.

Pierwszy Duch Królewski bytował w Polsce w osobie jednego z bajecznych Popielów. Popiel jest synem Rozy Wenedy, ostatniej latorośli wyniszczonego przez Lechitów narodu. Matka wpaja dziecięciu uczucie nienawiści do dawnych ciemżców i był jej „głos jak grzmoty, pędzący w zemstę“.

Po różnych przejściach, staje się Popiel pachołkiem panującego Króla Lecha—lecz, mając „uwiązany cel do wież wierzchołka“, szybko wnosi się na wyższe stanowiska, zostaje wodzem wojsk Lecha «złotym wojewodą». Myśl zemsty, jakoby mu umysł stale zaprzęta:

„Zemsta, jako pierwsza apostołka

Ciągle klóciła mię z ludźmi i losem“.

Lecz są to próżne słowa. Zemsta — ma być głównym bodźcem w działaniach Popiela, zemsta za krzywdy własnego narodu — tymczasem ani skutków, ani czynów jej — za wyjątkiem dokonanych za krzywdę własną,—w całym rapsodzie nie spotykamy.

Inna losów fatalność powikłała dzieje Popiela. Wracając ze zwyciężkiej wyprawy z wojskiem:

. . . „ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych w tak wielkiej ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

„ . . . skrzydło zmoczone i krwawe

Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.

To samo uczynili inni rycerze. Król źle przyjął uskrzydłonego wodza,— na podstawie snu, że rycerz skrzydlaty wydrze koronę potomkom jego; Popiel do więzienia wtrącony zostaje. Z więzienia uwolniła go potajemnie córka królewska Wanda. Popiel, jako wygnaniec tuła się po obcych krajach. Sprawność ręki zdobywa mu uznanie i podziw Germanów — obwołują go

„Kiejzarem“. Z hufcem wojsk swych nowych wraca do ojczyzny. Lech nie żyje. Walka rozwija się z wojskami Wandy. Po nieszczęśliwym wyniku wojny, Wanda topi się w Wiśle. Zwycięzca Królem zostaje obrany. Rządzi do śmierci srogo, okrutnie, jak Iwan Groźny.

W rapsodzie tym zwykle zalety twórczości Słowackiego występują w całej okazałości — również i wady. Więcej tu stonkowo ustępów niezrozumiałych, niż w uprzednich dziełach jego. Jaskrawą jest niekonsekwencja w przeprowadzeniu motywów głównych. Ognisty Pegaz czuje wstręt do szlaków logiki — one go nużą. Trzy sprzeczne motywy podaje autor, jako bodźce w działaniach Popiela. Pierwszy, nazwałbym motywem Zemsty, drugi, to motyw Prometeusza Opętanego, trzeci, motyw Pedagogiczny.

O drugim dowiadujemy się z 42-ej strofy, pieśni II.

Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak jak w tarczę miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — błądy . . .

Po tej przygrzywce zaczyna Popiel popelniać okrucieństwa i zbrodnie, podobne do czynów—opętanych obłudą cesarskim—władców, jak Neron lub Iwan Groźny. Tworząc ten obraz, jednego ze swoich prabytów, wziął Juliusz, jako wzór przed innymi, bodaj lwana Groźnego. Zatarg Popiela ze Świtynem i katowanie posła, to poetycznie opowiedziana historia sporu lwana Groźnego z księciem Kurbskim.

Profesor Tretiak — na podstawie pomieszania trzech motywów—pragnie stwierdzić trójpiętrowość postaci Popiela. To zbyt skromne określenie dla tego, który o sobie mówić ma prawo:

„Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucał, dawną tryskając naturą“

dla tego, który zamierzał

«Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi».

Nie z gmachem trójpiętrowym porównywać go należy, to prawdziwy „drapacz nieba“.

Już jesteśmy skłonni motyw „Prometeusza Opętanego“ przyjąć, jako miarodajny — gdy oto na końcu rapsodu obwieszcza nam piewca pobudkę do czynów niezwykłych, nową i zgoła od poprzednich dwóch odmienną.

Żywot lwana Juliusza Popiela śpiewali długo ropsodowie po śmierci jego, lecz żaden z nich nie wiedział „w czym była istota czynów“

. . .przezemnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przezemnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — naból-skała (str. 40. III).

Słowacki, jak słusznie stwierdza prof. Tretiak, lubował się w rozwiązywaniu etymologicznych łamigłówek; należą one na ogół do mniej udatnych pomysłów, do najmniej udanych Polska — nabólskała. «Nabólskała» brzmi nie jak rzeczownik — lecz jak, słowa jakiegoś, czas przeszły dokonany.

Motyw pedagogiczny, jako niewątpliwie najpiękniejszy, jest uprzywilejowanym ulubieńcem wielu krytyków Słowackiego i bywa uważany za jedynie miarodajny.

Dobro ogółu, myśl o pomyślności przyszłych pokoleń, usprawiedliwia w pewnych wypadkach stosowanie środków arcy-surowych w życiu państwowem, lecz okrucieństwo, jako środek wychowawczy, nigdy z prawdziwym pożytkiem stosowane nie było. Szerszy ogół poczuł się dotknięty w swoich uczuciach etycznych, gdy za dni nowszych Niemiec, Kanclerz¹⁾ - Żelazny, wygłosił zasadę: «nie mowy i uchwały parlamentarne budują podwaliny potęgi państwa — jeno krew i żelazo».

Blągostawionym wynikiem metody wychowawczej krwi i żelaza — wieszcz w następnej pieśni w „Bezdnie“ sam — kłam zadaje. Po bytowaniu w doczesnych kształtach Popiela, — Król-Duch spoglądając — z wyżyn, czy też otchłani zaświata — na ziemię, takie wystawia świadectwo o wynikach własnej działalności:

Kraj zarażony przezemnie i kata
Toczył się dalej straszną, krwawą bryłą
Jak trup, na którym okrwawiona szmata,
A on się toczy swoją własną siłą. (strofa 8)

— — — — —
Kraj cały był w pomorach,
Bitwach i rzeziach, zboża niedostarczach... (str. 27).

A gdy przyszła chwila wyzwolenia z Bezdna i powrotu do nowej pracy na ziemi — zjawiły się dwa duchy, które mu objaśniły wartość dawnej działalności i dalsze przeznaczenie.

Ślicznym jest pomysł formy ich objawień.

Gdzieś z ostatecznej krainy zachwyceń
Przyszły tę duchy i nauczyciele
Bez słów i dźwięków...

Ci za pomocą różnych się oświeceń
I blasków... z myśli tłómaczyli. (Str. 15).

Sąd o dawnej działalności Króla-Ducha wypadł naturalnie ujemny «jak dziecko czyniłeś szalone, biegnąc za mocy upiorem i chwytą».

Na tych podstawach wydaje się wniosek słusznym, iż motyw pedagogiczny — nieprzemyślany i zaimprovizowany jako końcowy akord kojący Popielowego rapsodu jest źle z nim związany, jak nieudana nauka moralna przy końcu baśni. Podobne konflikty z logiką — rozdźwięki między założeniem a wykonaniem, powtarzają się za wyjątkiem «Księgi legend» — aż do ostatnich rapsodów.

Ciekawym jest krajobraz, na tle którego rozwijają się zdarzenia i powikłania w najoryginalniejszym z utworów Stowackiego. Charakter jego uwydatniają już pierwsze słowa Rapsodu Popielowego.

Walka szatanów gromadą w broniach jasnych i tarczach słonecznych. «Jamy węzowe napelnione zdradą». Trup leżący na stosie «przy niebios jasnej błyskawicy, Kaukaz w piorunów... ciągłym rozgłosie», gadający z echem ciemnej okolicy. Niebo czerniałe, ale świecące się grzmotami.. «jak wid szatańskiej stolicy».

Przy podobnem oświetleniu rozwija się i wielka większość dalszych wypadków. — Barwy dnia i nocy trwają obok siebie «w ciągłym przymusie». Widzimy słońce w sąsiedztwie księżyca. Księżyc mieni się w obliczu to zielony, jak twarz trupia, to jak róża kwitnąca. Chmury piorunowe wicherzą się po niebie, lub spoczywają na łukach tęczy świetlanych. «Gwiazdy szciekają złote», ogarnięte niepokojem rozruchu. Miotły komiczne znaczą złotem szlak swój w zamęcie mgieł czarnych. Tęcze i pioruny tworzą czasem dziwne sploty. To wszystko wygląda na jakiś fajerwerk otchłaniowej piękności. Te ognie sztuczne urządził pyrotechnik nieziemski, przy zakulisowej pomocy artystów piekielnych. Sam by podobnej mozaiki z barw dnia i nocy ułożyć nie zdołał. Na dziwy podobne oko ludzkie patrzy z zachwytem, lecz wzrok się łamie pod naciskiem opętanej gry światła i cieniów. Podobno nawet duchy wywołane z Bezdna, Pradna (Ungrund, Urgrund) i innych tajemniczych ubikacji,—gdy rapsod pyrotechniczny trwa zbyt długo—rozpierzchają się po otchłani «z urokiem strachu».

Bezdno to kraina wiecznej zagadki, której człowiek żywy nie oglądał i nie ujrzy. Myśl w najwyższym lotu naprężeniu kołata się o nieprzeniknioną zasłonę, która ukrywa przed wzrokiem ludzkim tajemniczą treść życia. To kołatanie myśli o wieczną zasłonę—stanowi największy urok i ozdobę wszystkich rapsodów Króla-Ducha.

Z Księżą Legend w ręku wracamy na świat Boży. Oplewa ona właściwie bezkrólewie ducha. Choć niebrak w niej postaci zasługujących, bodaj nie mniej, jak następne Króle-Duchy, na tę godność najwyższą, wieszcz nikogo z nich nie namaścił odpowiedniami olejami, nikomu korony cudownej na głowę nie włożył.

Rok tysięcowy nadchodził, rodził się świat nowy,

....,wojsk duchowych tęczowe nawały,

Z brzękiem łabędzich girland — w szarych mrokach

Biły się o świat nowy — na obłokach*.

Po odpowiednim wstępie — w barwach pięknych, tym razem nie przejasnionych — oglądamy zacną, poważną, postać Piasta i nawiedzenie dworu jego przez Aniołów.

Domyślność komentatorów, która w tej postaci pragnie widzieć Mickiewicza — bodajże zmyliła tropu. Chcąc koniecznie szukać cieniów wielkich wieszczów naszych w postaciach rapsodu, znaleźlibyśmy raczej Krasińskiego w osobie Pychy — Piastowej małżonki.

„Starą dewotką” nazwał w owych czasach Słowacki autora Irydjona. Urodziny Księgi Legend nastąpiły w czasie nieporozumień, które wyzwały wymianę gromów z psalterza, między dawniej zaprzyjaźnionymi wieszczami. Pycha nie ma w sobie ducha Bożego. — Słowacki w onym czasie nazywał autora psalmów „duchem upadłym”.

Gdy aniołowie goszczą u Piasta, ona „stała skryta pod drzewem za ścianą”.

„Błysła twarz, niby jakiej płomienicy

Ciekawa, bledsza bielą od miesiąca” (str. 24)

Piast przywołuje Pychy, by święci mężowie ją i dziatki poświęcili.—Pycha poleca im szczególnie pierworodnego, Wodana. „Ten pierworodny — rzekła — na rycerza czarny, jako stał — ciemny, jak mogiła. Ten drugi — róża rozkwitła i świeża i w nim jest miłość” (str. 25)

Ten pierwszy, to bodaj uosobienie rodu, o którym autor psalmów wołał:

Ród co nie znał z wrogiem miru,

Żniwem trupiem ścinan w boju

Lub zapędzon do Sybiru.

Oni tylko dotąd, oni

Z Polską w sercu — z mieczem w dłoni

Dniem i nocą bez pokoju.

Ziemowit cichy, zacyjny kmlęć kwitnący. Anioł ominął w błogosławieństwie Wodana, a na Ziemowita młodszego „złał ducha z obietnicą Pana”.

I wnet, jak róża rozkwitła

Stał się ów chłopiec — wnet jak wyłaczana

Różana gwiazda, gdy na zorzach świtu,

Jak tęcza, gdy w mglistym świeci padole,

Stało się ono świecące pachole.

Matezyne serce Pychy nie pogodziło się bez sprzeciwu z upośledzeniem uprzywilejowanego w jej duszy — pierworodnego. Postanowiła „kraść Bożego Ducha” u Ziemowita, by nim tamtego ozdobić.

Dobre duchy jednak strzegły go w czasie tych pokuszeń¹ «Pan Bóg wietrznej zawierusze kazał wyć — wstała błyskawica sucha — wiatr się zapalił za wrotyma chaty, szatan się w ogniach przechadzał».

Pycha — niewiasta pomysłowa — tak łatwo broni nie złoży, gdy jeden zamach zawiódł o drugim roi. Postanowiła dom rodzinny opuścić razem z Wodanem — gotowa do sojuszu nawet z mocami piekielnymi.

«. Skłamanie

«Już przemieniało w niej ducha istotę
I piękność której równa dziś nie wstanie».

Piękność tę przyznawał dawniej Słowacki autorowi Irydjona.

Pochód Pychy na czarodziejską górę Zober—skąd zgubne ma czary na świat rozwinąć, pełny przejść i zjaw osobliwych—jak wiedźmowa noc uprzywilejowana na Łysej górze. W opisie jej możnaby domyślać się przygodnych przymówek do wyzutego z łaski wieszczka Krasieńskiego.

Na Łysej górze Zober—Pycha kładzie podwaliny pod Królestwo ciemności. Przy wymianie gromów z psalterza, zarzucił autor psalmów Słowackiemu, że się jak dziecko wmięszał w obronę sprawy, która «zradę miała zejść niemiecką». — W Księdze Legend otrzymuje wet za wet. *)

O organizacji mocy ciemnych na nowej Łysej górze dowiadyje się niemiecki cesarz Otton—wietrzy w niej pożytecznego sojusznika.

Mam—rzekł—Słowiany, państwo Słowian schwyce,

Przez Pychę będzie mi ziemia wydana

Wydan mi będzie ten kraj przez Wodana.

W wierszu do autora 3 psalmów, zarzuca mu Słowacki «że się kładzie wstecz kamieniem, na ruch ludzki nie pozwala» —Dziś, pod wpływem podstępnych obietnic cesarza niemieckiego, Pycha bierze na siebie zadanie uspienia pieśnią ciemnej czarownicy całego narodu — by się mógł stać lupem najeźdźcy, który Wodana cesarskimi olejami namaścić obiecuje. I poszła Pycha «gdzie była jama i błyszcz niby nocna próchen», a Wodan siedział «niemy, głuchy, ciemny»—i tam «rumianych głosów próbowała». «Myślałbyś, że w skale tej trup niewidzialny śpiewa, taka pieśń ciężka, podziemna, — kamienne góry, napelniła trzewa. Taki słów ciężar, otowianość, siła—strach», «Sam Otton czuje, że czar bierze».. «glob zamiera» idzie «śmierć ducha».

Słów, ani treści tej pieśni, niosącej „śmierć ducha” wieszcz nam nie zdradza—w wyobraźni jego były to prawdopodobnie lekkie warjanty do «psalmów przyszłości». Nigdy — ani przed tem, ani potem nie zostały one odśpiewane przy tak okazałej wystawie.

Pod zabójczym tchnieniem pieśni, wszelki ruch w kraju ustał, życie zasnęło prędzej, niż za dni naszych zamierało pod wpływem dobroczynnych zarządzeń p. Grabskiego. Lecz w czasach legendarnych—i dobry duch czujny bywał. «Błyszczący duch» wnet przybył do Ziemowita, kazał mu podążyć do stolicy

*) „Psalm żalu“ został wydany w 48 r. Nie wiem, czy w owych czasach, jak za dni naszych, wydania jesienne uprzedniego roku (47-y) nie-nosiły daty następnego. „Księgę Legend“ wykańczył Słowacki w końcu 47-ego r. Wszakże rapsody niewydane ulegały ciągłym nowym opracowanom.

Popiela i udzielił wszelkich wskazówek, jak pograżonemu w bezwład krajowi życie i siły wrócić.—Nie w grozy pełnych—lecz w idyllicznych barwach nakreślony obraz uspiętego kraju i dworu króla Popiela—przez mistrza barw i dźwięków.

Cudowne zadanie — uroczy poseł spełnia pomyślnie. Pod tchnieniem Mocy Bożej, złowrogi czar prysnął — ulotniło się brzemie snu letargicznego. Popiel z drużyną swoją zerwał się do walki. Ziemowit walczy w pierwszych szeregach i, jak za dni Carolusa Gustawa — Roch Kowalski króla, tak on goni cesarza, któryby poległ z ręki jego, gdyby go moce piekielne nie zbawiły.

Jak szatan cała w płomieniach i grzmotach
Stanęła wielka nad cesarzem góra
I las go w łono wziął i ukrył w błotach.
Ziemowit trąbił, ale mu natura
Ech nie oddała, w tych wielkich samotach.

W tych wielkich samotach usłyszał Ziemowit śmiertelny jęk matczyny. Napróżno ją wołając i płacząc — szedł w jasność purpurową, ku szczytom złowieszczej góry.

„Szedł w ten ogień, a wtem matki głowa
Na prześcieradle ognistej purpury
Stanęła
Usta otwarte miała, a z otworu
Ust jakby ciemność i strach wylatywał

... zjawiała się nad szumem boru
Nic nie wyrzekła straszna, i zniknęła”

gromada ciemnych duchów na górze zakłętej i wszystko znikło — jak sen w Księdze Pana wpisany... w ludach śniony dla przestrogi”. Taki bywa koniec orędownika ciemności, który „na ruch ludzki nie pozwala”... Tryumf mocy światła, działających przez Ziemowita, był zupełny, a

„On to słoneczny posadził na tronie
Szczep, w który miały duchy święte wchodzić,
A tu się jabłoń nad wszystkie jabłonie
Rozrosła w kwiaty i zaczęła rodzić.

Profesor Trietiak (jeśli pamięć mnie nie myli) uważa dwa ostatnie rapsody z czasów historycznych za najlepsze. Sąd ten wzbudza we mnie pewne wątpliwości. Pegaz Słowackiego w Królu Duchu stanowi poniekąd antytezę do Anteusza: gdy się od ziemi oderwie, gdy buja w baśni i legend krainie, pełnię sił i ognia rozwija — gdy dotknie dziejów i ziemi, ubywa mu mocy. Księga Legend jest bezwarunkowo najlepiej zbudowaną ze wszystkich rapsodów, opowieść rozwija się miarowo, prawidłowo, bez zbytecznych odchyień, bez szalonych wycieczek Pegaza w debry, wertepy rozmyślań genezyjskich i innych.

Piękne i pełne jest oblicze Piasta, świetlane Ziemowita. — Gdyby mu wieszcz nie poskąpił purpury Króla Ducha, można by przypuszczać, iż w jego osobie portret własny zamierzał nakreślić.

Zacną kobietą w podaniu jest małżonka Piasta Rzepicha. Na podstawie informacji, zaczerpniętych z jemu tylko wiadomych Ksiąg Sybilskich, Słowacki przekształcił ją w Pychę, orędowniczkę zastoju i ciemności. Lecz i jej postać oddana z wielką siłą. Postać jednolita, działająca konsekwentnie, świadoma celu. Tego wszystkiego o innych czołowych postaciach Króla Ducha powiedzieć nie można.

W przeciwieństwie do pełnej piękności i blasków twarzy Ziemowita, który „życie budzi”, domniemany — na wspólną z matką — przedstawiciel ciemnych sił reakcyjnych Wodan jest nikły i niewyraźny. Gdy z chaosu przeżyć i wypadków wypada wysnuć wątek myśli, wynik bywa osobliwy

Już lud wie, że ten za tyrana,

Kto go na duchu zabija, wytrąca
A nie ten, który mieczem głowy zbiera
A duchom żywot i słońce otwiera.

Myśl ta, swoją słonecznością, zdaje się szczególny na autora urok wywierać, bo zaraz na wstępie następnego rapsodu w innych powtórzona słowach

Nad miecz i łańcuchy straszniejszy,
Który na duchu zabija.

Zabijanie na duchu jest ciężkiem przewinieniem, pokrewne grzechom przeciwko Duchowi Świętemu. Kto grzech ten popełnia? W Księdze Legend winowajczynią jest Pycha, która życie usypia „na ruch ludzki nie pozwala”. Lecz jeśli hipoteza jest słuszną i autor pragnął pod maską Pychy przedstawić umysłowość Krasińskiego z czasów swojego z nim zatargu, sąd jego nazwać wypadnie do rdzenia fałszywym.

Wszakże Krasiński znalazł by się jako potępieniec w dobrem towarzystwie.

W dzienniku Słowackiego z dnia 11 września roku 47-go, jednocześnie pisany z Księgą Legend, znajdujemy następującą uwagę: „Pisarze romansów... jak Pan Tadeusz, którzy ubóstwiają zdrowy rozsądek, są to bardzo dobrzy ludzie, którzy *w duchach zabijają Królestwo Boże*”.

Z tego wywnioskować wolno, iż Mickiewicz w pojęciu Słowackiego był gorszym „nad miecz i łańcuchy” lub „ten, który mieczem głowy zbiera”. Sąd o Słowackim wypadłby bardzo niepomysłny, gdybyśmy do jego orzeczeń zwykli stosować kodeks zdrowego rozsądku. Lekceważony przez niego zdrowy rozsądek może być zbyt cennym w otchłaniach bezdna i pradna, lecz na ziemi zawsze zaliczanym będzie do najcenniejszych klejnotów w skarbcu umysłowości ludzkiej.

Rozważmy jeszcze wartość myśli o tych, którzy „mieczem głowy zbierają“, którzy uzdrawiają ludzkość przez leki żelaza i krwi — „Eisen und Blut“, czyli motyw Żelaznego Kanclerza.

„Że na strumieniu krwi błogostawieństwo — to wiem“, woła Słowacki w innym miejscu.

Te, i tym podobne słowa wzbudziły może zachwyt Czyzeryna (bolszewickiego komisarza), o którym świadczy prof. Zdziechowski.

Ludzie, którzy przy zielonem biurku strumienie atramentu przelewać zwykli (co bywa błogostawieństwem, jeśli się zeń piękne a mądre wynurzają myśli), zbyt łatwo zapominają o głębokiej różnicy, jaka zachodzi między wartością krwi i inkaustu.

Każdy według własnego upodobania gotów rozgrzeszać „zbieraczy głów“, przyprawiających ludzkość o tysiączne udręki — dla często urojonych „myśli słonecznych złotych“.

Historyk Gibbon odpowiednio do swego upodobania rozgrzesza pogromców kultury, jak Atylla, Alaryk lub Mahomet i Omar.

„Myśl słoneczna złota“ nieobcą była Bismarkowi, gdy raz po raz rozniecał pożogę wojny, — ku chwale i wzmocnieniu potęgi Niemiec. «Myśl słoneczna złota» przyświecała i Leninowi, (bo trzeba być sprawiedliwym i względem nieprzyjaciół), gdy dążył „przez moc ciemnych okrwawionych wschodów“ prosto w „złoty celów progi“.

Za nim przyoblekli tę złocistą szatę wszelkiego rodzaju lotry i szalbierze. — Przyswajac sobie prawo do niej mógł każdy, zaczynając od okrutnych «zbieraczy głów», assyryjskich Szaru Kenu, kończąc na nowoczesnym anarchiście zbrodniarzu.

Jak Proteusz umiał dowolnie wcielać się we wszelkie kształty, tak wszelakiego rodzaju zbrodnicze działania «zbieraczy głów» znajdują pancerz ochronny w zasadzie, iż wolno dążyć «do złotych celów», przez „moc ciemnych okrwawionych wschodów“. Zasada podobna prowadzi do piekła już nawet tu na ziemi.

O ile w pierwszych rapsodach przeważa tło obrazów rozwichrzonych, ciemnych, burzliwych — o tyle w tak zw. drugim i trzecim dobór barw była zgoła odmienny: słoneczne, pogodne, zdobyły należne sobie miejsce. Barwników potrzebnych do podobnych obrazów nie umiałyby dziś dostarczyć najlepsze wytwórnie przetworów chemicznych — czasów najnowszych. Sekret sposobu przygotowania ich posiadał jedynie — nasz niezrównany kolorysta i zabrał go z sobą do grobu.

W rozchodowaniu nabożów pierunowych — odpowiednio do zmienionego oblicza niebios — zostały również zarządzane znaczne oszczędności. Sprawiają nam wprawdzie czasem psotliwe niespodzianki

Pioruny, które śpią cicho w podłodze
Snopem płomieni — a nie szkodzą nodze... str. 3. I.
ale są to wypadki rzadkie, niepsujące nastroju. Przepiękne-
mu odlotowi bożka Anubina towarzyszy przepiękny a żałośny
dźwięk harf Eolskich, a nie piekielne strzały artylerji niebieskiej.

W każdym rapsodzie Króla - Ducha dźwięczą liczne echa
osobistych uczuć i przeżyć najsobiektywniejszego z wieszczów.
W rapsodzie Miecz a Sława, dominuje echo z chwili brzasku
Towianizmu w duszy Słowackiego, tej chwili, gdy on—indywi-
dualista do szpiku kości—poddawał się dyscyplinie koła, uznawał
zwierzchnictwo Mickiewicza—jako namiestnika Mistrza, nakładał
sobie pęta—wręcz wstrętne jego naturze.

W licznych żalach Mieczysława słyszymy echa tych ciężkich
dla duszy wieszczów doświadczeń: „Jeśli niewolnik podły ma
obrozę, cóż ja lepszego jestem?“ „Nic podlejszego, jak król
holdujący“ (str. 12 i 13. III).

Nowa inkarnacja Króla - Ducha biedny ma wygląd. Król-
Duch, jak wiemy z dziejów Popieła, popelnia czasem pomyłki,—
popelnia bodaj zasadniczą, wcielając się w postać Mieczysława.
Lamentujący, bezczynny jasnowidz nie posiada cech ducha—
twórcy i wodza—to najstarsza ze wszystkich czołowych postaci
poematu. To jakiś Mieczysław - gnuśny — a nie Mieczysław I,
wiary chrześcijańskiej bojownik.

Opis dzieciństwa—ślepego do postrzyżyn — Mieczysława,
obejmuje prawie całą długą pieśń pierwszą. Wędrujemy przez
niegościnne turnie, pełne zatómów i tajemniczych wędolów,
wzdychając napróżno za schroniskiem na Hali Gąsienicowej,
które za czasów Króla Ducha niestety jeszcze nie istniało. Zapow-
iedz chwili przełomowej w życiu Mieczysława następuje
w końcu pieśni. Ziemomysł zapowiada synowi, że go ożeni
z królewną czeską, *chrześcijanką*. Tu, jakby się budzi w mło-
dzieńcu siła woli i duch sprzeciwu.

„...twardy

Zastrzegłem w sobie przeciw zaślubinom

I przeciw ojcu memu—pełen wzgardy“: str. 53 l.

Po tych słowach wolno przeczuwać żelazny opór i upor
przeciwko ojcowskim zamierzeniom.

Ale nic z tego. W następnej pieśni, zarówno aktor jak autor
motywu sprzeciwu ducha zupełnie zaniechali. Młody Miecz-
ysław przygląda się pogodnie swadziebnemu—do Czech—po-
chodowi. Dopiero, gdy znikł gdzieś w kolorów zamieszce,
ogarnia go nastrój Byronowski.

Jakaś mię smętność

Znów ogarnęła i westchnęło łono

Za jakąś... dawno... w błękitach zjawioną,

(Zapewne zwykle arabeski «o Laurze.»)

Przy pogrążonym w smutnej zadumie młodzieńcu, zjawia
się piastunka jego, kapłanka odchodzących w zmierzch bogów,

i ciska weń słowa przestrogi, jak płomień palące, przed prze-
niewierstwem względem dawnej wiary. Pełne siły słowa pię-
knej—starego stroju—orędowniczki, nie wywołują oddźwięku:

Jakby promieniem czystej wesołości

Rozjaśnion, rzekłem: Sam wybiorę drogę

A teraz czekam z Czech tu nowych gości. (24. II).

Twarde zastrzeżenie przeciwko zaślubinom rozwiąło się,
jak mgła poranna., Jeszcze w 1 ej pieśni wieszcz uprzedza o
chwiejności niezłomnych postanowień Mieczysława Płaczliwego

...bylbym poszedł (w sprzecznie) na różne
[hazardy

Gdyby nie ciało—ciężkie, ku dolinom

Ziemi chylące mię... i krew uboga.

Jakoż ten syn Iis trafił między proroki? Po co Król Duch
wybrał dla reinkarnacji formę tak ubogą? W tym wypadku—
w przeciwieństwie do opowieści z dziejów Apostolskich—Sza-
weł został Pawłem nie dzięki «światłości z nieba», która go
„zawsąd oświeciła“, lecz dzięki „ciału ciężkiemu“ i „krwi ubo-
giej“. Niewdzięcznie, rozdzwięcznie i niezręcznie brzmi ten mo-
tyw w pieśni królewskiej.

Druga ta pieśń zawiera kilka pięknych strof poświęco-
nych wprowadzeniu Chrześcijaństwa—opis zmięzchu bogów
jest znacznie dłuższy i nie mniej piękny. Po opisie zaślubin
Mieczysława z Dubrawną, autor szkicuje klęskę najazdu na
Polskę złych sąsiadów: wschodnich Sławian. Historjozoficzne
rozważania powstania państwa Sławian wschodnich, w prze-
ciwieństwie do Słowian zachodnich, naogół dosyć trafne—za-
mykają tę pieśń.

Początek pieśni trzeciej pełen Hijobowych nastrojów.—
Pokonany przez wrogów Król lamentuje:

Kwiat jestem podły i lzy podłe cedzę,

Krynicą jestem łez—na prochu siedzę (12.III)

Dla pociechy otoczyli go kołem „starzy sędziwoje w
hełmach, lub lisich kołpakach na głowie“. Król się im przy-
gląda:

Nagle ujrzałem oczy, jak ołowie,

Błaszące, ogień, twarz białą, rąk dwoje

Potem nic—tylko wielki krąg czerwony. ⁵

Wstałem, jak lampa pozostałem... zgaszony (14).

Dziwny ten obraz przedstawia nam ponowne oślepięcie
Króla.

I Pan pokazał mi, ⁷na jaką sprawę

Zamknięciem oczu ducha mi przeznaczył,

Bo oczy ducha stały się ciekawe

I wzrok mój— twarze swych myśli zobaczył (st. 17)

Myśli te, to szereg rojeń genezyjskich—jakby wyjątki z
rymowanej «Genezis z ducha». Wytrawny Taternik dawno

oswoił się z podobnemi obrazami, które pozostają tylko w luźnym związku z całością konstrukcji.

W ostatnich pieśniach rapsodu autor tworzy sobie jakby «Wolną trybunę», z której w różnem przebraniu opowiada swoje widzenia i rojenia. Wyskokiem ich ożywia, nietylko Króla lecz i Królowę. Para królewska prowadzi żywą wymianę zdań o swoich wizjach mistycznych.

„Z naszych ciał obu, jak z dwóch klatek ciasnych, leciały białe ducha gołębice i gdzieś w błękitność podniesione wieczną—stały na skrzydłach“.

Lecz strapiiony Król szuka pociechy i znalazł w objęciach małżeńskich:

rzekłem do niej: Pan Bóg nas wysłucha
I miejsce nasze zastąpi wspaniale.
Oto zaprosimy w dom wielkiego ducha
Ty w róż go malin—a ja w krwi korale
Święte ubiorę: spełni się otucha
Duchów świętością zlanych doskonale
W tójcę (?) tworzącą, która ciało ciśnie
I dzieli, aż się w jedną skrę—trzy zbłyśnie. (26)

Skutek był dobry, bo

Pan wysłuchał i w malej dziecinie
Przyszedt ktoś wielki..

Następują chrzciny. Królowi wżarła się w duszę skłonność do samoudręczeń. „I znów—biada—o Panie zgrzeszyłem, w niedoli cielesnej będąc“, bo zapytany o imię następcy „rzekłem ach boli mię sława“; imieniem Bolesława ochrzczono dziecinę

„a sługa kościelny

Trzymając w rękę dziecinę kochaną

Poczuł, że Chrystus przezemnie dał miano.“

Próżne więc były biadania, bo natchnienie Chrystusowe grzesznem być nie może.

Ogólne położenie kraju odtąd się poprawiło „jakaś moc podniosła Państwo“. Pieśń kończy się pięknym ustępem. Król, słuchający gry małżonki na organku, wpada znowu w stan jasnowidzenia.

Chopina Słowacki nie lubił, lecz dusza jego artystyczna umiała odczuć muzykę równie głęboko, jak piękno przyrody, piękno tworów architektonicznych i sztuki malarskiej. Dźwięki, które słuch uchwycił, świetnie w słów kryształach utrwalił umiał.

Anheliczne sny ogarnęły króla pod wpływem dźwięków: o narodach przeszłości i przyszłości. „Ukazały się ludów twarze dziwne a śliczne“. Przed oczyma duszy wstają kolejno obrazy Judy, Aszura, Egiptu, Grecji i Rzymu.

Piąty włódt u nóg wilczycę strasliwą

Żelazną, która mu karmiła dzieci,

I węża czasu, który w złotych kłębach

Wił się, a ogon swój chciał ugryźć w zębach...

W dziesiątym Moskale domyśleć się można, w jedenastym Polaka

...w wielkiej pokorze
Szedł, ale razem i w mądrość ubrany
W rękę nic—tylko trzymał złote zboże
I karmit wiatrem, ku ziemi przywiany
Gdy szedł, jam poznał go i krzykał Boże,
To mój!

(„W rękę nic, tylko trzymał złote... i karmit wiatrem”—to jakby prorocze widzenie p. Grabskiego.)

Wtem nadszedł dwunasty nieznanym
I był objawion mi pod tajemnicą
Bez znaków—tylko wiem, że był dziewicą...

(Punkty na końcu strofy, własne Autora)

W ostatniem widzeniu zjawia się Syn Człowieczy i na króla woła; Janie (Janie, może przez wzgląd na pokrewieństwo wizji obecnych z apokaliptycznymi, może przez wzgląd na rymów wymogi):

Widziałeś teraz w duchu ziemskie rzeczy
Przeciw ostatnim dwóm, dziesięciu stanie.

Król, w najwyższem napięciu jasnowidzących sił ducha, odpowiadać zaczyna:

«W tem mój synek w kołysieczce krzyknął,
Żona przestała grać».

Urók przysnął, widzenie się rozwiłało.

Dziecko kwilące w kołysce nie może być dźwignią mistycznych rojeń ani podnosić nastrojów muzycznych.

W ostatniej pieśni Królowa obejmuje wolną trybunę w wyłączne posiadanie.

Widzenie jej obejmuje zarys dziejów świata, ujęty w lupinę orzecha. Nowa to podróż, przez turnie i wirchy wyobraźni — conajmniej w Himalajskich wysokościach. — Myśl natężona oczekuje słowa, któreby rzuciło snop promieni rozjaśniający tuman zagadek, jaki nas otacza w tych wielkich samotach. Możeby ta chwila upragniona nastąpiła, gdyby nie znowu fatalny przypadek.

Królowa mówi:

Już jakaś wielka chwila była bliska,
Już jakieś złote jasne promienisko,
W tem niańka, która moje dziecko huśta
Krzyknęła!

I znowu to dziecko w kołysce ze swoją piastunką! — gdy godzina objawienia bić poczynąta, objawienia, które by wszelką Gordyjską zawilość Króla Duchą rozwiązało! — Czyżby poeta, przeznaczając kołysce dwukrotnie rolę tak fatalną, chciał stwierdzić, iż kołyska i to co się z nią wiąże, skrzydła natchnienia podcina?

Jeden z dziejopisów Słowackiego, wyrażając żal iż rapsod Bolesława Śmiałego został tylko ułamkiem, przypuszcza, iż w całości jego znaleźlibyśmy wyjaśnienia — tego co w nim pozostało zagadkowe.

Próżne marzenia. — Człowiek śmiertelny, który się podjął wyjaśnienia zagadek bytu, nie spełni zadania — przekraczającego miarę sił ludzkich, nie wypowie tego, czego pojęcia nasze ująć nie są zdolne — na co mowa ludzka słów nie posiada. Może duchy «z ostatecznej krainy zachwyceń», które poznaliśmy w Bezdnie, byłyby w stanie wykonać to zadanie, lecz ich „język z słonecznej miłości wzięty“ jest „nie mówiony, lecz z ducha błyskany“, „za pomocą różnych oświeceń i blasków“.—Znowu obcych, nieprzystępnych dla umysłu ludzkiego.

Wobec człowieka śmiertelnego — ostateczne błyski objawienia zawsze gasnąć będą, jak zgasił dwukrotnie w rapsodzie Mieczysławowym.

W chwili krytycznej—usłużne «dziecko krzyknie w kółysce», lub jakie inne podobne zdarzenie rozwieje widzenia obrazy najjaśniejsze na cztery wiatry i blask objawienia zgasi. Z pełną melancholji rezygnacją powtórzmy sobie starą prawdę «Quod scimus gutta est, quod ignoramus mare».

Sila uczuć, lotność wyobraźni nadają impet twórczości poety—rozsądek działać winien jak regulator. Umysł staje się twórczym, jeśli posiada zdolność wylania swych myśli w odpowiednią formę. Zdolność ta nie każdemu dana. Słowacki posiadał ją rozwiniętą do najwyższego stopnia potęgi. Samolotem wyobraźni wznosił się w najwyższe sfery ducha, skąd pragnął uchwycić dźwięk mowy wieczności. Niewielkie posiadał zasoby balastu rozwagi, lecz i tych skwapliwie się pozbywał, byle wyżej, byle wyżej.—Dobrze znany cesarz rzymski niewiadomo czy brał zupełnie na serjo—swoje poufne rozmowy z Jowiszem Statorem.—Słowacki w swój poufny stosunek z Panem Bogiem uwierzył, uwierzył iż bezpośrednio otrzymuje od Niego objawienia.

Od inwokacji zaczyna się rapsod Śmiałego, lecz nie do Muz zwrócony, jeno do Duchów najwyższych, — do Pana Boga:

Panna mię trzyma na anielskiej straży
I świecącemi otoczywszy koły
Naucza we śnie przez swoje anioły

Boże,
Uczynisz teraz, że mój rym zniewoli
Narodu serce i zawiada słuchem,

Jeśli teraz serdecznego jęku
Nie wydobędę—jeno pieśń nikczemną,
Jeśli mnie mój lud nie pozna po brzęku

Zbroi: to jeszcze raz tu nadaremno
Przyszedłem, gdzie nic *duch anioł* nie tworzę
Jeszcze raz próżno tu przyszedłem, Boże!

Gdzie go tam «mój lud» miał poznać, błądzącego z lutnią w rękę, w fantastycznym stroju po najniegościnniejszych gór szczytach! Lecz „nadaremno” nie przyszedł ten, którego wpływ na rozwój umysłowy daje się wyczuć po stu latach, który dziś jeszcze czaruje i do rozmyślań pobudza umysły żywsze i artystyczne.

«Śmiały» posiada znacznie więcej cech właściwych Duchowi Królewskiemu, niż Mieczysław Płaczkowy, a rapsod o nim więcej dziejowej prawdy. Budowa rapsodu jest lepszą, a prawa wolnej trybuny znacznie ograniczone.

Z wysokości jej opowiada nam wieszcz w pierwszej pieśni balladę o Złotej-Hławie, tylko luźnie związaną z treścią rapsodu — lecz wielkiej piękności. Jest to rzecz o bogach w zmierzch odchodzących...

«Jestem bez łez, bez litości dla zwyciężonych» woła Słowacki w finale 5 ej pieśni Beniowskiego. (Podobno Czyczerin ronił łzy rozrzewnienia nad tym pięknym aforyzmem). To dobre uczucie ulega wszakże różnym wahaniom.

Żywym został w nim duch przekory i po „transfiguracji”. Sprawy przegrane bywały bliskie sercu jego. Nad gasnącą gwiazdą Mahometanizmu odśpiewał w Beniowskim «requiem» dziwnej piękności. Bukarego (Lucyfera w „Samuelu”) ubrał w anhelliczne szaty, utkane z tęczy i łabędziego puchu. Nad grobem zgastych bogów pogańskich rozciągał aureolę z płynnych diamentów i ze skryzalizowanych blasków zorzy północnej. W jego mniemaniu posiadały one kiedyś i moc i życie — jeno czas ich minął.

Umysł Słowackiego to dziwotwór — jedyne w swoim rodzaju. Trudno znaleźć w literaturze innych narodów — wizerunek ducha twórczego, podobny jemu. Oryginalny w najwyższym stopniu, czerpał natchnienie z obcych źródeł, posiłkował się pomysłami cudzemi, jak nikt inny z wielkich wieszczów czasów najnowszych. Samolot wyobraźni wznosił się łatwo do himalajskich wysokości. W niezmiernych wyżynach, czuł się w swoim żywiole, jak sęp lotnik urodzony. Mistrz formy, jak Hefajstos dłutem i młotem kruszcowi — tak on mowie związanej kształty cudowne nadawał, — zawsze ponętne dla wyobraźni, cenne, jako dzieło sztuki, lecz często trudne do pogodzenia ze zdrowym rozsądkiem.

Mówiliśmy już o poetach obcych, którzy wpływ wielki na umysłowość Słowackiego wywarli. Bodaj, że nie jest stwierdzeniem, czy autor Króla Duchy znał Shelleya, a jest to wieszcz, który, dzięki pokrewnemu rodzajowi twórczości, najłatwiej z nim porównywany być może.

W epoce wzlotów Słowackiego, Shelley już nie żył, ale gwiazda sławy jego daleką była od zenitu. Wolno przypuszczać, iż niektóre utwory jego znane były wieszczowi naszemu. W jednym z listów do autora Irydjonu, wspomina Słowacki smutny los Keats'a. Znajomość tę zapewne zawdzięczał głośniejszemu — a przepiękniejszemu i rzetelnemu — elegji Shelley'a „Adonais”, poświęconej pamięci tego — znacznie mniej od niego — znanego poety. W Królu-Duchu domyślać się można pewnych odblasków z Shelley'owskiego poematu „The Revolt of Islam”. — Jednak znajomość dzieł jego musiała być powierzchowną, w przeciwnym wypadku nasze Radio cudowne znalazłoby daleko szersze zastosowanie dla koncertów tamtej harfy złotej.

Wspólnych rysów charakteru znajdziemy u obu poetów bardzo mało — częściej jaskrawe przeciwieństwo. Inaczej na polu twórczości. Świetne blaski lotnej wyobraźni dodawały skrzydeł myślom obu wieszczów, lecz u Shelley'a nie panuje ona samowładnie. Gdy u Słowackiego serce przedewszystkiem na własny bić umie użytek, siła dobrych uczuć Shelleya stroi jego harfę w dźwięki tkliwe, serdeczne, — obce Wielkiemu Radio.

„Cor cordium“ brzmi wymowny, a dobrze zasłużony napis na grobie angielskiego poety.

Miłość i głębokie zrozumienie piękna przyrody były wspólne obu poetom. Kochali nadewszystko wielkość, wspaniałość jej obrazów. Przy odtwarzaniu ich nie wystarczały im blask i świetności naturalne. Z Krezusowych skarbów wyobraźni ciskali chętnie dodatkowe zorze lub tęcze — choćby z «szarańczy tęcze kirowe» (Słow. w Beniowskim).

W ukochaniu i odczuciu tego piękna nie ustępuje im Byron, lecz jemu wystarczają barwy naturalne dla stworzenia pięknego obrazu. Wielkowspaniałe zwierciadło oceanu, które Byron przed nami rozciąga — w ostatnich strofach Childe-Harolda, jest tem samem, które tylko Byron opisać potrafi, lecz przeciętny śmiertelnik *ujrzeć* własnymi oczyma zdoła.

W znanym finale 5-ciu pieśni Beniowskiego Słowacki ukraińskich stepów groźną krasę maluje. Wspaniałość nieposwednia. Takich stepów oko zwykłego śmiertelnika *nigdy w naturze nie widziało*, — *widzi je i podziwla przez magiczne szkła* oddane przez Słowackiego do publicznego użytku

...gdy skrzydłami ruszy

Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zaczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma,
Kto Cię nie widział nigdy wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdzie wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko brzmi burzanów morze,

Mogily głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Stary dworak — Polonius z Hamleta, usłyszawszy takie porównania, wypowiedziane przez Królewskiego wieszczą, niewątpliwie zawołałby tonem głębokiego przekonania: „Słońce, jak czarna tarcza z krwawymi oczyma i szarańczy tęcza kirowa that's good! Czarna tęcza,—is good”.

O ile Słowacki, jako Polak, nie zdradzał szczególnego zamiłowania do morza (nie posiadaliśmy w owe czasy polskiego morza, w którym nawet wykąpać się można), o tyle Shelley jako Anglik widział w niem swój żywioł, swoją ojczyznę. Skarbnica jego wyobraźni pełna jest morskich obrazów, przypominających w swoim rodzaju — stępy Słowackiego. Posejdon, prześladując gniewnie Odysseusza, takiego zamęszania na morzu urządzić nie umiał, jak Shelley, gdy rozpętał wichry wyobraźni (A vision of the sea). A jednak fantastyczne, niebywale obrazy obu wieszczów oddane są z takim rozmachem i siłą, że czytelnik bywa skłonny zawołać z Schillerem

«Czego uszy nie słyszały, czego wzrok nie widział
To jednak jest pięknem i prawdą»

Z piorunami, z tęczami, z kryształem i szlachetnymi kamieniami wszelkich blasków i odcieni, ze srebrem i złotem, obaj cuda sprawiać umieli, jakie się żadnemu chemikowi, ani elektrotechnikowi nie śniły.

Shelley bywa skłonniejszy do roztopiania cennych minerałów na mgły złote i srebrne, na tęcze. Pod tchnieniem Słowackiego, gra barwna zorzy północnej części w kryształów formę krzepła.

Obok potężnych akordów, obu wieszczom wspólnych, posiadała harfa Shelley'a bogactwo tonów melodyjnych, rzewnych a tkliwych. Piękno przyrody odczuwał on i w mniejszych obrazkach. Jako przykład: „Pieśń do skowronka”, najpiękniejsza pieśń skowronkowa, jaka kiedykolwiek z piersi ludzkiej trysnęła. Dlatego może nie byłoby błędnem zdanie, iż Shelley był lepszym od Słowackiego lirykiem. *Nie poeta*. Genjusz, a posiadali go obaj, bywa obdarzony magiczną siłą, której ściśle ani zważyć, ani zmierzyć niepodobna. Słowacki przewyższał angielskiego poetę wielostronnością twórczości. Wobec dziesiątka jego dramatów posiadamy tylko jeden Shelley'owski, Beatrix Cenci, utwór realistyczny, wielkiej siły dramatycznej. W dziedzinie poezji epickiej przewaga Słowackiego jest bezwzględna. W satyrycznej — szermierka Anglika (Peter Bell III, bedipus swellfoot) jest dziecinadą wobec Laertowej sztuki Słowackiego.

Żywot Shelley'a było ośm lat krótszy od życia autora Króla-Ducha. Utonął w morzu w czasie burzy, w kwiecie młodości. Umysł jego nie zdradzał żadnego „pęknięcia kory”, ani „próchna duszy”. Duch jego zgasł dla ziemi, nie wypowie-

dziawszy ostatniego słowa. Słowacki do końca życia zachował pełnię sił twórczych i słusznie o sobie u schyłku życia powiada:

I kwiat mych myśli czułem coraz stodszy,

Ciało zużyte, a duch coraz młodszy.

Słusznie powiada Nietzsche, iż utrzymanie młodości ducha jest największą sztuką życia. Z drugiej strony podkreślić należy, iż genjusz wieszczą rozwinął się w ostatnich latach życia do bliskiego sąsiedztwa linii Lombrosa. To jest tej granicy, której przekroczenie Lombroso uważa za fatalne.

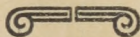
Dzięki olbrzymiemu rozpowszechnieniu języka angielskiego, Shelley posiada dziś sławę wszechświatową. Sława Słowackiego równie silnie promienieje tam, gdzie brzmi mowa polska. W Anglii i w Polsce wpływ obu wieszczów, każdego w swojej dziedzinie — na literaturę ostatnich lat dziesiątków był przemożny. Życiorysy, rozbiory ich dzieł, komentarze mnożą się do obecnej doby w sposób osobliwy, dowodząc nienadwątłonej przez ząb czasu potęgi czaru — jaki na umysły ludzi spóczesnych ich duchy wywierać są zdolne.

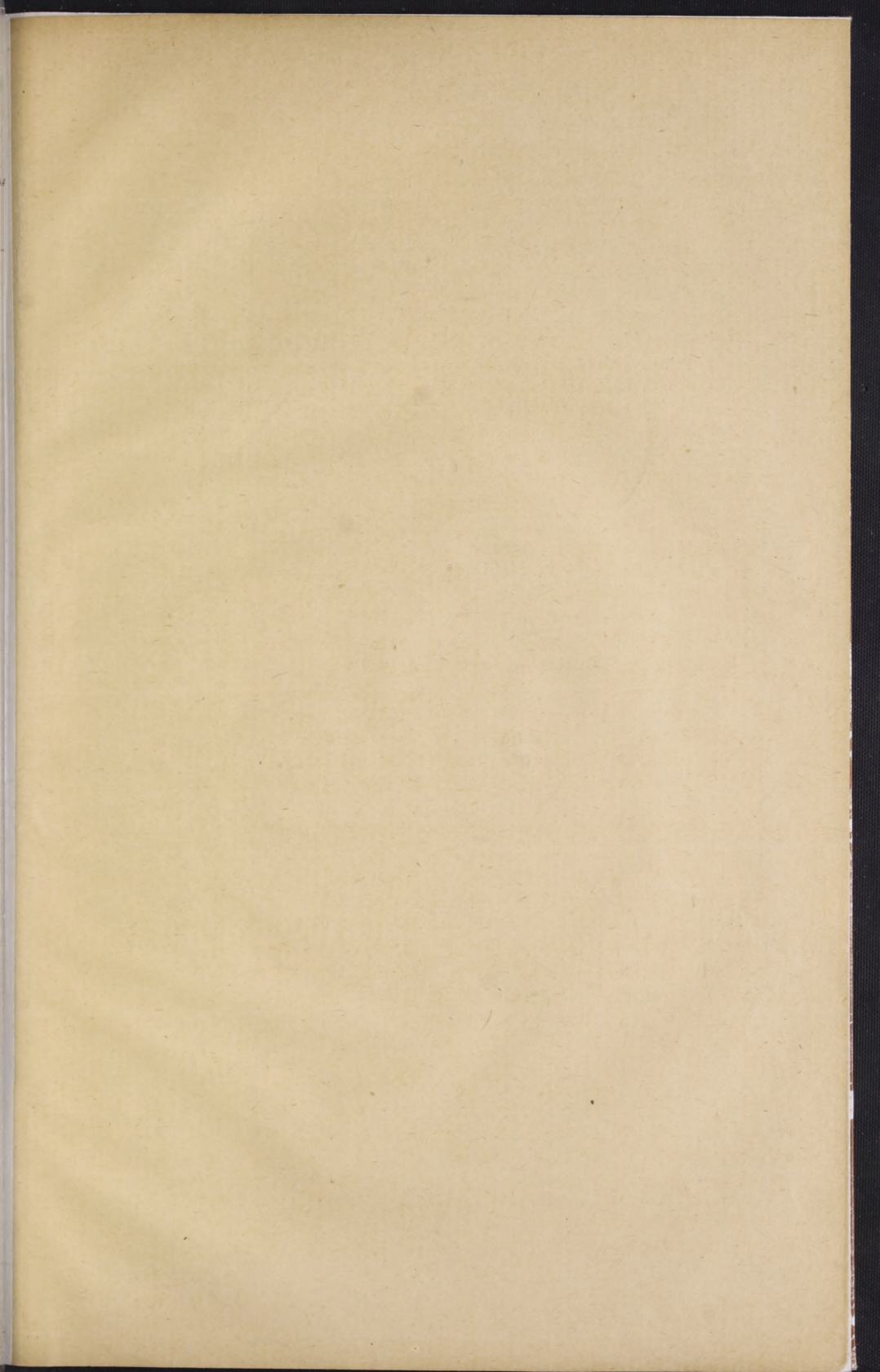
W czym leży źródło czaru i prądów magnetycznych, które łączą dusze dawno znikłe z blaskiem dnia dzisiejszego? Olsniwające piękno formy, która do chwili obecnej zachowała świeżość kwiatu wiosennego. Świadczy to o prawdzie powiedzenia, oplakiwanego w „Adonaisie“ Keats'a.

„A thing of beauty, is a joy for ever“.

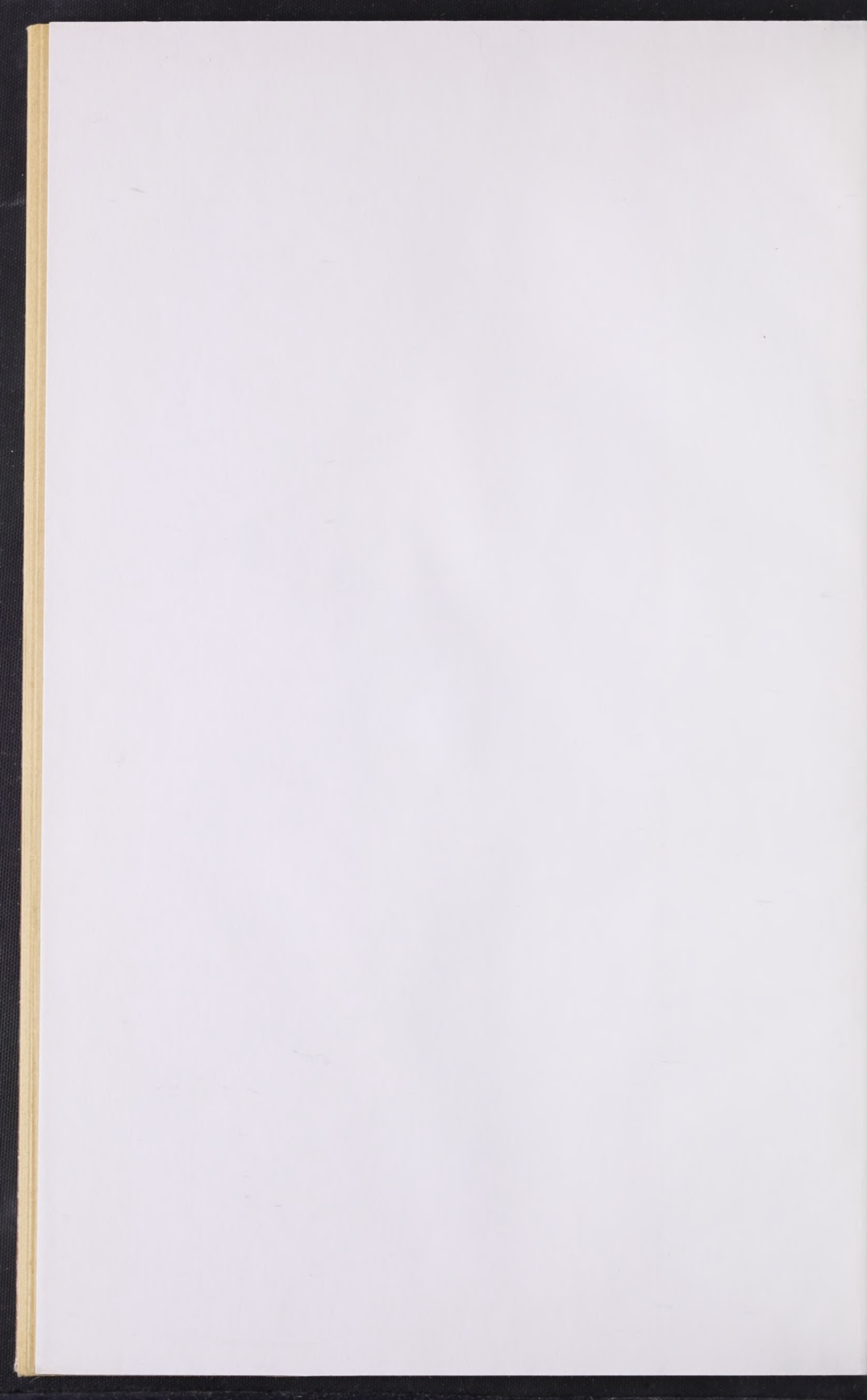
Rdzeń umysłu obu poetów, wyobraźnia pęt nieznaną w doskonałej trwa harmonji z nastrojami dnia dzisiejszego, kiedy skłonność do fantastyczności, do utopji, do nieliczenia się z wymogami zdrowego rozsądku ogarnęła dalekie koła ludzkości.

Wszystko na świecie prawu zmienności i zaniku ulega. I blaski te przyćmi przyszłość niebardzo odległa. Wszakże w Panteonie wielkich wieszczów pomniki ich pozostaną na wieki. I czytać ich będą jeszcze dalsze pokolenia. — Czytać z pożytkiem — o ile przy udziale zmysłu krytycznego i zdrowego rozsądku. Bo skarbcę, które nam przekazała twórczość tych wieszczów — obejmują obok bezcennego bogactwa szlachetnego metalu moc bilonu i liczmanów.









Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019931553

BIBLIOTEKA
NARODOWA
BN



259425